



**6** Rok XVI  
(795)

CENA 1.50ZŁ

**11. 2. 73**

§

KAROL BADZIAK

## RYKOSZETY ZBRODNI

Jaka droga doprowadziła ich do zbrodni?  
Jak to się mogło stać?  
Sąd: — Co świadek pomyślał, gdy dowiedział się, że jego syn został mordercą?  
— Nie wierzyłem, że to mój syn — odpowiedział Stanisław Feder, ojciec Konstantego Federa.  
Sąd: — Co pani sądzi o swoim synu?  
— To było moje najlepsze dziecko — stwierdziła na rozprawie Aniela Dębińska, matka Janusza Dębińskiego.  
Sąd: — Barczyński leżał na ganku w kałuży krwi. Czy oskarżony udzielił mu pomocy?  
Dębiński: — Nie... Barczyńskiego zabił Feder.  
Feder: — Dębiński kłamie.  
— Oto fragmenty sprawozdania z procesu Janusza Dębińskiego i Konstantego Federa. Całość czytaj na str. 9.

# ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

ANDRZEJ GRUN

## Przestań pan fotografować moją żonę...

„... (Aleksander) pragnął, aby Apelles namalował Kampaspe w jej naturalnej nagości, ponieważ posiadała niezwykłą urodę...”

Mario Equicola  
„De natura d'amore”

Snieg, pierwszy prawdziwy tej kapryśnej zimy bieli cierpliwie Planty, zasnuwa mżłą wirujących płatków Bramę Floriańską, zacierając kontury wież Mariackich. Rynek z niewyraźną bryłą Sukiennic przypomina impresjonistyczne płótno. Uliczki Starego Miasta opatulone białym pokrowcem są w taki dzień śnieżysty i cichy dziwnie przytulne i własne... Przed pałacem Pugetów na bylejak skleconym sześcianu ordynarny afisz niebieskimi literami krzyczy: WENUS 72 — AKT — PORTRET.

Dalszy ciąg na str. 6

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK



O dbywało się to zawsze tak samo. Przy każdym wejściu do portu — w Avonmouth, Hamburgu, Las Palmas, Mombasie... Blisko i daleko od kraju. Wszędzie.

Po rzuceniu cum i springów, pada kapitańska komenda:  
— Koniec manewrów — tak stoimy!

Wtedy, kto żyw, zbiera się przy trapie, by udając spokój, dokuczając innym docinkami, a samemu siląc się na obojętność przy prognozach w rodzaju: „swoje listy, stary, w Gdyni dogonisz...” — czekać na portowego agenta Polskich Linii Oceanicznych, który zwykle tuż po celnikach, zjawia się na statku z pocztą przeznaczoną dla marynarzy. Okrzyk: „LISTY NA BURCIE!” podrywa na nogi i wyciąga z najbliższych zakamarków wszystkich, którzy nie wytrzymywali nerwowo zbyt długiego oczekiwania przy trapie. Po rzuconej na stół w mesie załogowej paczce listów wyciąga się natychmiast zachłannie kilkanaście rąk... Nie ma... nie ma... JEST!!!

W kilka minut mesa pustoszeje, tych dwóch-trzech pechowców, którzy musieli odejść z niczym, zapala nerwowo papierosy, lub bierze się do roboty, aby robiąc cokolwiek, byle tylko zająć czymś ręce, nie kląć, nie narzekać, nie myśleć, że...

Dalszy ciąg na str. 4

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „ODGŁOSÓW”:

★ MARIA KORNIATOWSKA — Korespondencja z USA pt. „Nowojorskie konfrontacje filmowe”

★ ANDRZEJ SZONERT — Korespondencja z Francji pt. „Paryż różnie widziany”

a także artykuły w ramach cykli: „Szansa młodych” i „Nasze mieszkania”



# Odgłosy:

Przysłowie głosi, że „podróże kształca”. Jeżdżą więc ludzie po kraju czy trzeba czy nie trzeba. Jeżdżą dla przyjemności, z konieczności i aby się uczyć. Wśród podróżujących są też i reporterzy. Czasem zawitają do Łodzi, a potem w pisaniach wychodzących w innych miastach ukazują się ich relacje i refleksje. Niedobry obyczaj nakazuje, aby pisma wychodzące w opisanym mieście ustosunkowały się do tych relacji i refleksji. My nie lubimy tego zwyczaju, chyba że reporter rozminie się z prawdą, albo wykaże zbyt jaskrawą nieznaną tematu. Zdarza się i tak.

Krzysztof Jagiełło, która w 4 numerze „LITERATURY” opublikowała rzecz o Łodzi pt. „Sztuka owijania w bawełnę”, nie zdarzyło się nic z tych rzeczy. Wprawdzie pisząc o wielu zjawiskach z życia kulturalnego Łodzi nad niektórymi przeszło zbyt pośpiesznie, nie wszystko mogła skomentować i należało zbadać. Można byłoby spierać się na przykład, czy rzeczywiście dlatego „po koncercie Auera publiczność opuściła Filharmonię nie czekając na „bis”. (bo była świadoma, że o 6 rano trzeba iść do pracy). Mam wątpliwość, czy do Filharmonii (niestety) chodzi ta właśnie publiczność, która idzie na 6 rano do pracy. Ale to drobiazgi.

„Trybuna Ludu” w poniedziałkowych „Poglądach i opiniach” zwróciła uwagę na inny fakt. Zarzuciła autorce, że cytując wypowiedź kierownika literackiego Teatru im. S. Jaracza, nie opatrzyła go niezbędnym komentarzem. Kierownik tego teatru powiedział: „po 28 latach

socializmu ciągle najbardziej lubimy „Trędowatą”. Zdaniem „Trybuna Ludu”, jeśli teatr „po 28 latach socializmu” z własnej inicjatywy sięga po adaptację powieści pani Heleny Mniszek — to po prostu spekuluje na gustach i zarazem wystawia sobie świadectwo ubóstwa”.

Aby być sprawiedliwym trzeba dodać, że inny teatr łódzki sięgnął po adaptację „Dziejów grzechu” Stefana Zeromskiego. A jest to teatr, który w swoich programowych zamierzeniach kierował się wielkimi ambicjami. W literaturze polskiej jest jeszcze kilkanaście powieści, których adaptacja na pewno przyniesie dochody, ale nie przyniesie sławy. Ale to już zupełnie inna sprawa.

Jeśli już wtrociliśmy się do sporu o łódzkie sprawy, to chcielibyśmy jeszcze tylko skromnie zauważyć, że nie o wszystko należy obwiniać łódzką publiczność. To prawda, że wśród pracujących przeważają kobiety. To prawda, że czasu wolnego mają mniej niż mało. To prawda, że brakuje tu domów kultury, że w nowych dzielnicach nie ma kin i klubów. Ale i łódzkie środowiska kulturalne i artystyczne nie są bez winy. Przykład Muzeum Sztuki — na który powołuje się Krzysztof Jagiełło — najlepiej dowodzi, że jeśli wie się czego się chce, jeśli ma się inicjatywę, pomysły, to trafia się do ludzi, rozbudza się ich zainteresowania.

Najgorsze jest postępowanie w myśl „zasady”: dobrze jest, jak jest, było szło do przodu. Ze w tym samym czasie inni idą szybciej i robią więcej, to już inna sprawa, nas to już nie obchodzi. A nas tak, bo my nie lubimy, kiedy powszechnie staje się filozofia spokojnego życia. Szczególnie kulturalnego.

## POLITYKA

W powiatach, miastach, dzielnicach miast wydziałonych odbywają się w całym kraju partyjne konferencje sprawozdawczo-wyborcze. Statutowym zadaniem konferencji jest wybór nowych instancji partyjnych i delegatów na konferencje wojewódzkie. Znaczenie ich jest jednak donioślejsze, ponieważ konferencje wytyczają jednocześnie konkretne plany działania terenowych ogniw partii na najbliższe lata, określają sposób i najlepsze metody przyspieszenia rozwoju naszego kraju. Dyskusje, oceny dotychczasowego działania, podnoszone nowe problemy, spotykają się z szerokim zainteresowaniem całego społeczeństwa poszczególnych miast i regionów, wszystkich obywateli. Kampania sprawozdawczo-wyborcza jest obecnie w pełnym toku. Przewiduje się, że w miesiącu lutym odbędą się dalsze 200 konferencji w powiatach, miastach i dzielnicach.

W dniu 30 stycznia Blum polityczne KC PZPR zapoznają się z informacją o dotychczasowym przebiegu kampanii sprawozdawczo-wyborczej. Dotychczasowy przebieg zebrał i konferencja potwierdza istnienie nowego, lepszego klimatu politycznego w samej partii i wśród całego społeczeństwa. Konferencje cechuje roboczy charakter, prośka o to, by jak najwyżej przekazać zadania społeczno-gospodarcze VI Zjazdu przypadające na 1973 rok. Jednocześnie kampania sprawozdawczo-wyborcza uamienia kadrowo instancje partyjne, zasila je ludźmi ideowymi i prężnymi, zdolnymi do realizacji rosnących zadań. Ma to szczególne znaczenie w obliczu ważnej i trudnej kadencji, dla wykonania pięcioletki i zadań bieżącego roku.

## GOSPODARKA

Nie ma jeszcze pełnego bilansu stycznia, ale z dostępnych już informacji wynika, że start przemysłu w bieżącym roku był dynamiczny, a plany pierwszego miesiąca roku zostały wykonane z nadwyżką. Produkcja przemysłowa w styczniu w porównaniu do analogicznego okresu ubiegłego roku zwiększyła się: przemysłu ciężkiego o 11,5 proc., maszynowego — ok. 17 proc., chemicznego — o 17,5 proc., lekkiego — o 13 proc., a ilość oddanych do użytku mieszkań jest dwukrotnie większa (wybudowano nowe mieszkania dla 4 tys. rodzin).

Mimo dobrych efektów pracy i zaangażowania załóg zaobserwować można było ujemne zja-

wiska w niektórych przedsiębiorstwach, takie jak słaba dyscyplina pracy, nadmierna absencja, opóźnienia dostaw kooperacyjnych. Aby nie tylko utrzymać, ale zwiększyć dotychczasowe dobre tempo pracy, wszystkie te trudności i niedomagania muszą być usunięte jak najszybciej. Dostrzeganie ich to już pierwszy krok na tej drodze.

★ ★ ★

Z całego kraju napływają meldunki o podejmowaniu dodatkowej produkcji, w odpowiedzi na apel Sekretariatu KC i Prezydium Rządu. Z każdym dniem „Bank 30 miliardów” powiększa się o miliony i dziesiątki milionów dodatkowo zadeklarowanej produkcji kopalń i hut, stoczni i portów, przemysłu lekkiego i rolnictwa. Podjętym zobowiązaniem towarzyszy rzeczowa, gospodarska dyskusja, atmosfera odpowiedzialności, gwarantująca realizację podejmowanych zobowiązań, jak również troska o to, by dodatkowa produkcja była potrzebna dla gospodarki narodowej i oczekiwana przez społeczeństwo.

Przykładowo: Stocznia Szczecińska im. A. Warskiego wybuduje poza planem statek pełnomorski wartości 200 mln zł; Stocznia im. Komuny Paryskiej — jednostkę morską wartości 295 mln zł. Hutnicy „Kościuszki” wyprodukują dodatkowo 2 tys. ton stali, 500 ton surówki oraz 5 tys. ton wyrobów walcowanych. Górnicy kopalni „Rydułtowy” wydobędą 12,5 tys. ton węgla ponad plan.

Nie tylko w zakładach przemysłowych, lecz w gminach trwają intensywne prace nad wykorzystaniem rezerw i określeniem optymalnych możliwości zwiększenia w bieżącym roku produkcji rolnej. Rolnicy, służba rolna i aktywni gmin wskazują na możliwości zwiększenia hodowli, lepszego wykorzystania ziemi i posiadanych środków, dalszego usprawnienia obsługi rolnictwa.

★ ★ ★

Wszystko wskazuje na to, że bierzemy się wreszcie za porządku w kraju w sensie dosłownym. Pożątek (już chyba nie kampanii, ale normalnej praktyce) dał list premiera sprzed roku do przewodniczących rad narodowych. W tym czasie zrobiono wiele, szczególnie w zakresie uporządkowania terenów na szlakach turystycznych. Ale to dopiero pierwszy krok. I nie chodzi tylko o zagranicznych turystów, o ich wrażenia, jakie wyniosą z naszego kraju, lecz nasze własne samopoczucie.

Sprawa jest jasna i prosta! Nie można budować i modernizować gospodarki, zmieniać oblicza miast i wsi, tolerując bałagan, brud, katastroficzny stan sanitarny w gastronomii i w innych „miejscach publicznych”, których szczegółowo wymieniać nie trzeba, bo wszyscy znają je doskonale.

Ogłoszono alert sanitarno-porządkowy dla kraju. Ponowny list premiera, konferencja prasowa rzeczniczką rządu, w odpowiedniej porze, bo przed nadjeściem wiosny, znowu skierowały uwagę władz terenowych na to ważne zagadnienie. Tym razem chyba nie skończy się na poszczególnych aktach dobrej woli. Oprócz mobilizacji dla terenowych inicjatyw i pomysłów, uczulenia na to niebagatelne zagadnienie, zagrożenie sankcjami. Rząd zapewni odpowiednie środki techniczne, aby nie tylko miotła, ścierała i wiadro wody... Handel spożywczy otrzyma o 600 mln zł więcej na poprawę stanu sanitarnego niż w roku ubiegłym. Gastronomia — 430 mln zł więcej. W bieżącej 5-latec wybuduje się 36 nowych dworców, a zmodernizuje 100, a wiadomo, że są to wizerunki miast. Na ulicach i w dużych obiektach pojawi się sprzęt mechaniczny do sprzątania.

Cel: Polska krajem czystym i schludnym, to zadanie na dłuższą, ważny element w całości dokonywanych przeobrażeń. Zadanie dla władz terenowych, naczelników gmin, odpowiednich przedsiębiorstw, ludzi z handlu, gastronomii, gospodarki terenami — ale przede wszystkim każdego z nas. Porządek musi być wszędzie!

## KULTURA

Ostatecznie, po alarmach prasowych, zakończyła się pomyślnie akcja w obronie zabytkowego Kazimierza nad Wisłą. Ministrowie kultury i gospodarki terenowej oraz przewodniczący PWRN w Lublinie podpisał dokument, który jest całkowicie zgodny ze zdaniem konserwatorów, historyków i opinii publicznej. Budowa domu czasowego puławskiego kombinatu, która była swoistą próbą sił, została zlokalizowana w odpowiedniej odległości poza miastem.

„Katowicki Karnawał Kulturalny — Zima Katowicka 73” ma już swoją 8-letnią tradycję. W czasie dwóch tygodni, między 15 a 31 stycznia miał tu miejsce przegląd najciekawszych zespołów studenckich. Zorganizowano dużą wystawę prac malarzy-amatorów z całego kraju, oraz



przeгляд twórczości amatorów-filmowców.

W X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej dużym powodzeniem cieszy się wystawa „Wielki Proletariat”, którą od września ub. roku zwiedziło 25 tys. osób. W muzeum odbywają się lekcje będące atrakcyjnym uzupełnieniem nauki historii w szkole, ostatnio na temat Powstania Styczniowego.

Ukazał się pierwszy numer magazynu ilustrowanego „Film”. Nowy tygodnik, o objętości 32 strony, łączy tematykę krytyczno-teoretyczną z materiałami informacyjnymi i rozrywkowymi, dotyczącymi spraw kina i filmu w kraju i na świecie.

W ubiegłym tygodniu rozstrzygnięto kilka konkursów. We Wrocławiu na sztukę współczesną: II nagrodę otrzymał Andrzej Makarewicz za sztukę „Twarzą w twarz”. Dwie III nagrody Stanisława Fleszarowa-Muskat i Bogdan Urbankiewicz.

W Katowicach rozstrzygnięto ogólnopolski konkurs literacki z okazji 30-lecia PPR. Dwie równorzędne pierwsze nagrody przyznano Tadeuszowi Holujowi za powieść „Osoba” i Julianowi Kawalcowi za powieść pt. „Szara aureola”. Dwie drugie zdobył Wiesław Jajzdźniński za „Pojednanie” i Albin Siekierski za „Ostatnią niedzielę listopada”.

Tradycyjnym zwyczajem „Zycie Literackie” przyznało swe doroczne nagrody. Za rok 1972 zdobyli je: w dziedzinie esejistyki — Maria Janion za książkę „Romantyzm, rewolucja, marksizm”, w dziedzinie krytyki literackiej — Henryk Vogler za książkę „Tadeusz Różewicz”. W dziedzinie reportażu nagrodę przyznano Barbarze Seidler za książkę „Skłócenie z prawem”.

J. J.

**▲ KONIEC Z WYGODNYM ZYCIEM.** Hasło to dotyczy działalności gospodarczej we wszystkich jej dziedzinach. Powinniśmy nadal dążyć do tego, aby każdy z nas mógł żyć wygodnie i dostatnio. Ale, aby tak się mogło stać, potrzebna jest dobra robota, potrzebna wzrostu dyscypliny pracy i właściwego wykorzystania czasu, jak i na pracę każdego z nas przypadku.

A tymczasem. Wprawdzie wykonaliśmy — z małymi wyjątkami — zadania gospodarcze, jakie przypadły na rok ubiegły. Niektóre przedsiębiorstwa nawet je przekroczyły, ale wysłapiły też zjawiska ujemne. Ich przezwyciężenie pozwolił we właściwy sposób wykorzystywać rezerwy, jakie występują jeszcze w wielu przedsiębiorstwach.

Oto w trzecim kwartale ubiegłego roku okazało się, że łodzianie są narodem bardzo... chorowitym. Trzeba było dopiero rozmów z tymi, którzy zbyt często chodzili do lekarza, uskarżając się na różne dolegliwości, których później wcale nie leczyli. Rozmowy te dały wyniki i już w czwartym kwartale ubiegłego roku znacznie mniej chorowaliśmy, co w praktyce oznacza, że znacznie mniej braliśmy zwolnień lekarskich.

Pomyślna realizacja zadań gospodarczych przez przedsiębiorstwa Łodzi i województwa łódzkiego mimo różnych zjawisk ujemnych dowodzi, że w wielu wypadkach kierownictwa tych przedsiębiorstw planowały bardzo ostrożnie, że wolały stworzyć załogom godne warunki. — Ewentualnie przekroczyły się zadania — myślano — będzie pochwała i sława. A gdyby tak coś wypadło, to wystarczyłoby swoje bez większego wysiłku.

Czas skończyć z takim rozumowaniem. Wgodne życie w pracy, nie prowadzą do życia dostatecznego. Już starożytni

Polacy przestrzegali, że „bez pracy nie ma kołaczy”.

**▲ NAJLEPSZA SPÓŁDZIELNIA.** „Wiadomości Kutnowskie” chwalią Kutnowską Spółdzielnię Usług Wielobranżowych. Jej załoga otrzymała pismo pochwalne od I sekretarza KC PZPR — E. Gierka i premiera P. Jaroszewicza. Spółdzielnia prowadzi 32 zakłady usług dla przemysłu i 20 zakładów usług dla osób prywatnych — czyli tak zwane usługi dla ludności. W ubiegłym roku dała ona ponad plan 7,5 mln. zł. Kiedy czyta się tę informację w „Wiadomościach Kutnowskich” ma człowiek ochotę westchnąć: oby więcej takich, których można byłoby chwalić za sukcesy!

**▲ PODŁOGA Z FABRYKI.** W Łodzi powstał projekt fabryki wykładzin na podłogi. Fabrykę buduje się pod Częstochową a nazywać się będzie „Lentex” — włókniny”. Z odpadów lnu wytworzyć się będzie wykładziny, które zastąpią stosowane do tej pory płytki pcv. Można je wykładziny, które już w przyszłym roku ma otrzymać podmiotowo, okazały się lepsze od płytek pcv.

**▲ SCIANA BEZ SZAFY.** W ubiegłym roku ukazała się nakładem Instytutu Wydawniczego CRZZ Jana Szymańskiego „Książka o mieszkaniu”. Wydawnictwo potrzebne i pozytywne. Przecież co mieszać łeś tam setek łodzian i nie tylko — wprowadza się do nowych mieszkań. Nowe mieszkania trzeba umeblować. Jan Szymański radzi, jak to zrobić. To prawda, ale prawdą jest też, że nie każdy może z tych rad skorzystać. Nie każdy bowiem ma czas, umię i możliwość, aby zająć się sobie i dla siebie czy regał. Zresztą od tego jest praca i rzemiosło. Żyjemy w dobie specjalizacji i podziału pracy. Ale tu za-

czynia się kłopot. Mebli — wiadomo — nie ma pod dostatkiem. Zeby coś kupić już nie atrakcyjnego, ale tylko standardowego — trzeba dobrze schodzić nogi i sporo stracić czasu. A zamówić u stolara?

Toteż sprawa skomplikowana i trudna. W Łodzi — mieście przeszło 750-tysięcznym o rozwiniętym budownictwie mieszkaniowym — Łódzkie Przedsiębiorstwo Drzewne „prowadzi” tylko trzy (podkreślam — trzy!) zakłady, które zajmują się tego typu pracą. W tym roku — uwaga, uwaga! — przybędzie czwarty.

Ale w ogólnych obrótach przedsiębiorstwa wartość tego typu usług stanowi zaledwie 20 proc. Resztę poświęca się na usługi dla przemysłu. I dlatego wołam: **DLA LUDZI, PANOWIE, WIĘCEJ DLA LUDZI!**

**▲ TO JEST COŚ!** Bardzo proszę nie mylić tego zawołania z lansowanym od niedawna: „To jest to”. Tamto „to” dotyczyło Coca-Coll. Moje „to” dotyczył pomysł Muzeum Sztuki, które udośćpełniło swoje sale „Warsztatowi Formy Filmowej”. Do 24 lutego odbywać się będą tam interesujące imprezy. Każdego dnia coś innego. Każdego dnia coś nowego. Warto pójść i zobaczyć.

**▲ TRIENNALE MALARSTWA I GRAFIKI — ŁÓDŹ 1973** — to nowa i interesująca inicjatywa łódzkiego środowiska plastycznego. Triennale ma odbywać się pod hasłem: „Nasz czas — metafora — tendencje”. Uczestniczyć będą artyści z całego kraju. Miejsmy nadzieję, że z czasem impreza nabierze charakteru międzynarodowego.

Przy okazji ujawniła się pewna trudność. „Głos Robotniczy” tak to skomentował:

„Można się spodziewać, że uda się tę wielką ekspozycję o nieprzeciętnym znaczeniu prestiżowym dla Łodzi zlokalizować w reprezentacyjnych salach „Textilimpexu”, a więc w jednym, jak na razie miejscu, jakim miasto na naj-poważniejsze imprezy dysponuje.”

Osobiście bardzo lubię takie sytuacje. Inicjatywa cenna, potrzebna i pożyteczna. Nic, tylko gratulować pomysłu. Ale co będzie, jak „Textilimpex” nie wyrazi zgody na wyzwanie „jedynego miejsca jakim miasto dysponuje na naj-poważniejsze imprezy”? Inicjatywa ma upaść? Byłoby bardzo źle, gdyby tak miało się stać. Wierzę, że do tego nie dojdzie, ale niebezpieczeństwo takie istnieje.

Zadaje więc sobie pytanie: nie porozumiano się do tej pory z „Textilimpexem”, czy zastosowano chwyty z zastosowaniem kontrahenta?

**▲ BEZPIECZENIE!** Przedstawiciele milicji, prokuratury, sądu i Prezydium RN m. Łodzi poinformowali dziennikarzy o pierwszych pozytywnych skutkach ich starań o spokój i bezpieczeństwo łodzian. Statystycznie jest znacznie lepiej niż było w 1971 roku, ale wiele jeszcze trzeba zrobić, aby rzeczywistość było jeszcze bezpieczniejszą na ulicach Łodzi.

Dalszy wzrost bezpieczeństwa zależy jednak nie tylko od samej milicji. Potrzebna jest pomoc społeczeństwa. Nikt



z nas nie powinien pozostawać obojętnym na wszelkie wykroczenia, chuligańskie wybryki i naruszanie prawa.

**▲ LATO W OGRÓDKU DZIAŁKOWYM.** W Łodzi jest 7951 ogródków działkowych, a w tym roku przybędzie jeszcze dodatkowe tysiąc. Coraz więcej ludzi — najczęściej przenoszących się do nowych osiedli — pragnie spędzać wolne chwile na działce, wśród zieleni i na świeżym powietrzu. Stale rozbudowywane ogródki działkowe dają możliwość takiego wypoczynku, ale ciągle jeszcze jest ich mniej niż chętnych.

M. R.



# ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KONRAD FREDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji).

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, W. SŁAWSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.





WIETNAM POLUDNIOWY nie zaznał jeszcze w pełni do-  
brodziejstwa porozumienia o zaniechaniu walk. Trwają, choć  
ze zmniejszającym się natężeniem, incydenty zbrojne. Mię-  
dzynarodowa Komisja Kontroli i Nadzoru, w skład której  
— jak wiadomo — wchodzi także przedstawiciel Polski,  
nie mogła w ub. tygodniu rozwinąć działalności, ponieważ  
nie otrzymała od czterostronnej komisji wojskowej planu  
stref kontroli oraz środków transportu i łączności. Pierw-  
sze spotkanie szefów delegacji Demokratycznej Republiki  
Wietnamu, Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego Republiki  
Wietnamu Południowego, reżimu sajgońskiego i Stanów  
Zjednoczonych, wchodzących w skład tej komisji, odbyło  
się dopiero w piątek. Tego dnia przewodniczący delegacji  
spotkali się również po raz pierwszy z Międzynarodową Ko-  
misją Kontroli i Nadzoru. Dopiero to spotkanie otwiera eki-  
pom komisji możliwość pracy w terenie.

Prócz sytuacji w samym Wietnamie uwagę opinii publicz-  
nej skupiają działania polityczne i prace przygotowawcze  
do konferencji na temat przyszłości tego kraju. Wiele ko-  
mentarzy w prasie zachodniej wywołała zapowiedź wyjaz-  
du do Hanoi Henry Kissingera. Jego podróż, zapowiedziana  
na 10—13 lutego, prez. Nixon skomentował jako wizytę, któ-  
rej celem jest zorientowanie się w zamierzeniach DRW oraz  
przedyskutowanie problemów odbudowy po wojnie. „Istnie-  
je szereg problemów — powiedział Nixon — o których  
trzeba rozmawiać bezpośrednio z DRW”. Sam zaś Kissinger  
w wywiadzie telewizyjnym oświadczył, że ma on zoriento-  
wać się, w jaki sposób Stany Zjednoczone mogłyby polo-  
żyć kres dziesięcioleciu wrogości. Oczywiście nie dodał, że  
przez USA zawińionej.

Z konferencji prasowej prezydenta USA zwraca uwagę  
i ten fragment jego wystąpienia, w którym zdecydowanie  
przeciwstawił się amnestii dla dezertersów. W tym miejscu  
warto poinformować Czytelników, że liczba młodych Ame-  
rykanów, którzy bądź zdezerterowali bądź zażądali statusu  
odmawiających służby sięga od początku konfliktu 200 tys.

Tyle wietnamskich relacji z minionego tygodnia. A teraz  
PRZENIESMY SIĘ DO EUROPY. — przede wszystkim po  
to, aby omówić trwające w Wiedniu konsultacje na temat  
redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie.

Do stolicy Austrii — po wymianie poglądów na linii  
Wschód — Zachód — przybyły delegacje 19 krajów, które  
podjęły dwustronne konsultacje. W chwili, gdy przygotowu-  
jemy komentarz do druku, z Wiednia napłynęły wiadomości,  
wyrażające optymizm co do możliwości rychłego zwo-  
łania plenarnej sesji konsultacji przygotowawczych. Za taką  
nie można bowiem uznać pierwszego spotkania wszystkich  
delegacji, które nie miało przewodniczącego, ani też okreś-  
lonego porządku dziennego. Delegacje zabierały głos na za-  
sadzie kolejności miejsc przy stole, które zresztą również  
nie były wyznaczone.

Aby zrozumieć te zawiłości musimy Czytelnikom przy-  
pomnieć, że między państwami Wschodu i Zachodu były  
rozbieżne opinie co do składu uczestników konsultacji. Kraje  
socjalistyczne, o czym pisaliśmy swego czasu, opowiadały  
się za udziałem wszystkich krajów europejskich oraz Sta-  
nów Zjednoczonych i Kanady, podczas gdy kraje zachodnie  
ograniczyły liczbę uczestników. Nie chcąc blokować począt-  
ku rozmów — kraje socjalistyczne wystąpiły swe delegacje  
do Wiednia, ale zastrzegły, że nie przesądza to udziału w  
konsultacjach przygotowawczych wszystkich zainteresowa-  
nych państw europejskich.

Pierwsze spotkanie 19 delegacji miało więc charakter  
nieoficjalny, a cała sprawa zasługuje na omówienie, ponie-  
waż jest przykładem możliwości kompromisowego rozwią-  
zania kwestii bez zwłoki, do jakiej niewątpliwie musiałoby  
dojść w przypadku uzgadniania stanowisk na drodze diplo-  
matycznej. Otóż właśnie napływające z Wiednia sygnały  
o przebiegu rozmów dwustronnych dają podstawy do opty-  
mizmu.

Wstępne konsultacje wielostronne, o których agencje za-  
chodnie piszą, iż mogą potrwać do dwóch miesięcy, mają  
na celu wyznaczyć termin, miejsce i porządek dzienny ro-  
kowań merytorycznych na temat redukcji sił zbrojnych  
i zbrojeń w Europie.

Rozmowy przygotowawcze do tej konferencji nie mają  
żadnego formalnego związku z konsultacjami, trwają-  
cymi w Helsinkach, które dotyczą konferencji na temat  
bezpieczeństwa i współpracy, ale faktycznie postępy  
osiągnięte w stolicy Finlandii będą przecież wpływać na  
rozmowy wiedeńskie i odwrotnie.

CO więc DZIEJE SIĘ aktualnie w HELSINKACH?  
Tam toczy się dyskusja nad porządkiem dziennym konfe-  
rencji. Spisano już wiele propozycji uczestników konsulta-  
cji, które odnoszą się do czterech planowanych punktów  
porządku dziennego: bezpieczeństwa, współpracy gospodarc-  
czej, wymiany kulturalnej oraz utworzenia organów, które  
zapewniłyby ciągłość pracy przedstawicielstw uczestniczą-  
cych w konferencji krajów.

Przed kilku dniami delegat ZSRR złożył na konferencji  
projekt zadań, jakie mogłyby być zlecone przez konferencję  
do komisji opracowania. Chodzi o określenie zasad współ-  
życia państw europejskich.

W bieżącym tygodniu zwiększona ma być ilość sesji kon-  
sultacyjnych, aby w ten sposób szybciej zakończyć etap zaj-  
mowania stanowisk przez poszczególne delegacje wobec  
proponowanego porządku dziennego.

Obserwatorzy konsultacji w Helsinkach są dobrej myśli  
co do możliwości ustalenia tematyki europejskiej konferen-  
cji.

W. SŁAWSKI

**P**orażka wojsk niemieckich pod Moskwą, niepowo-  
dzenia na innych frontach w Związku Radzieckim,  
zmusiły Niemców do zmiany planów strategicznych.  
Doszli oni do wniosku, że atakiem frontalnym nie zdo-  
będą Moskwy i nie pokonają Armii Radzieckiej. Postano-  
wili więc postawić na strategię wyczerpania ZSRR. Pole-  
gała ona na zdobyciu jak największej ilości ważnych,  
wojskowo-gospodarczych rejonów na południu Związku  
Radzieckiego, głównie zaś rejonów naftowych na Kauka-  
zie oraz sparaliżowania komunikacji przez Kaukaz, opa-  
nowania rolniczych obszarów Donu, Kubania i zdobycia  
Stalingradu jako ważnego węzła komunikacyjnego nad  
dolną Wolgą.

Zmiana planów strategicz-  
nych podyktowana była  
również dużymi stratami,  
jakie ponieśli Niemcy w  
dotychczasowych działaniach  
na froncie wschodnim. Od  
22 czerwca do 18 grudnia  
1941 roku straty ich szaco-  
wane były na około 800 ty-  
sięcy zabitych, rannych i za-  
ginionych, a do kwietnia  
1942 roku ponieśli oni dal-  
sze dotkliwe straty wyno-  
szące ponad 400 tysięcy. Ar-  
mie hitlerowskie w tym  
czasie odrzucone zostały na  
zachód od 100 do 350 km.  
Dlatego Hitler za główny  
cel operacji wojennych w  
1942 roku na froncie ra-  
dzieckim obrał kierunek

obrony również i na tym  
odcinku frontu.

**W** dniach 19 i 20 listo-  
pada 1942 roku wojska  
radzieckie rozpoczęły  
natarcie z pozycji polo-  
żonych na północ i południe  
od Stalingradu. Główną  
rolę w pierwszym etapie  
przeciwnatarcia odegrał  
Front Południowo-zachodni  
(utworzony w końcu paź-  
dziernika), którego dowód-  
cą był gen. N. Watutin.  
Wykonał on potężne i głę-  
bokie uderzenia z przyczół-  
ków na prawym brzegu Do-  
nu w rejonie Sierafimowi-  
cza i Kleckiej. Front Sta-  
lingradzki (do 28. 09. Front  
Południowo-wschodni), pod

# BITWA STALINGRADZKA

południowy. W maju i  
czerwcu Niemcy zakończyli  
koncentrację sił i środków  
przeznaczonych dla letniej  
ofensywy na południe ZSRR.  
Wojska niemieckie uzupeł-  
niły swoje straty poniesione  
zimą i powiększyły swoje  
sily o dalsze 35 dywizji.

Natarcie wojsk niemieck-  
kich rozpoczęło się 28  
czerwca 1942 r., przynosząc  
im w ciągu lipca wielkie  
sukcesy. Potężne sily nie-  
mieckie szybko posuwały  
się naprzód. Jedno skrzydło  
tych sił zmierzało na  
wschód, ku Woidze i Stalin-  
gradowi, drugie minęło Ro-  
stów i w połowie sierpnia  
dotarło do Kaukazu. 15  
września 1942 r. nastąpił  
akt pierwszy dramatu, roz-  
poczęła się bowiem pierw-  
sza faza bitwy stalingradz-  
kiej, wypełniona szaleńcymi  
próbami Hitlera zdoby-  
cia niezłomnego miasta.

U podstaw operacyjnych  
omyłek Niemców, którzy  
nie potrafili wykryć przy-  
gotowywanego przez Armię  
Radziecką potężnego prze-  
ciwnatarcia w rejonie Sta-  
lingradu, leżała zła dzia-  
łalność rozpoznania. W  
przeciwnatarciu tym wzięło  
udział jedenaście armii, szereg  
samodzielnych korpu-  
sów pancernych, zmechaniz-  
owanych i kawalerii, bry-  
gad i samodzielnych od-  
działów oraz 13,5 tys. dział  
i moździerzy, około 900 czoł-  
gów i ponad 1400 samolo-  
tów bojowych. W przed-  
dzień wielkiej bitwy sily  
przeciwników były mniej  
wielce wyrównane: wojska  
radzieckie liczyły 1.005.000  
żołnierzy, wojska niemieck-  
ie i dywizje państw sate-  
liczkich 1.011.000. Armia Ra-  
dziecka uzyskała przewagę  
w stosunku 1,5:1 w czoł-  
gach, tą samą przewagę  
miała w działach i moź-  
dziejach, ale w powietrzu  
górowali Niemcy: 1,1:1,0.  
12 września nawiązała  
walki o miasto niemiecka 4  
armia pancerna, uderzająca  
z rejonu Abganierowa. O-  
bronę Stalingradu przejęła  
62 armia dowodzona przez  
gen. W. Czujkowa i część  
sił 64 armii gen. M. Szum-  
łowa. Uporczywe i zaciete  
walki obronne w mieście  
trwały nieprzerwanie do 18  
listopada. Po wielokrotnych  
nieudanych próbach zdobyc-  
cia Stalingradu i wyczer-  
pania swoich odwodów, do-  
wództwo hitlerowskie zmu-  
szone zostało w połowie li-  
stopada zaprzestać akcji  
ofensywnych i przejść do

dowództwem gen. A. Jere-  
mienki nacierał z rejonu  
jezior Sarpińskich. Zgrupo-  
wania uderzeniowe obu  
Frontów miały połączyć się  
w rejonie Kalacz — chutor  
Sowiecki i tym samym  
zamknąć pierścień okrążenia  
głównych sił niemieckich 6  
armii połowej i 4 armii pan-  
cernej pod Stalingradem.  
Na głównych kierunkach  
przelamania radzieckie do-  
wództwo zapewniło sobie,  
dzięki umiejętnej koncen-  
tracji sił, trzy- i czterokrot-  
ną przewagę. To w dużej  
mierze zdecydowało o losie  
bitwy. W przeciwnatarciu  
wziął również udział Front  
Doński (do 28. 09. jako  
Front Stalingradzki), do-  
wódcą jego był gen. K. Ro-  
kossowski. Miał on za za-  
danie rozbić wojska nie-  
mieckie, zgrupowane w ma-  
łym łuku Donu.

Front Południowo-zachod-  
ni był wspierany w swych  
działaniach przez 2 i 17 ar-  
mię lotniczą, dowodzone  
przez gen. K. Smirnowa i  
gen. S. Krasowskiego. Dzia-  
łania wojsk naziemnych  
Frontu Dońskiego wspiera-  
ła 16 armia lotnicza pod do-  
wództwem gen. S. Rudenki.  
Natomiast wojska Frontu  
Stalingradzkiego wspierane  
były przez 8 armię lotniczą,  
dowodzoną przez gen. T.  
Chrinkina.

Ogółem w planowanej  
operacji zaczepnej wzięło  
udział czternaście armii o-  
gólnowojskowych, jedna ar-  
mia pancerna, 1700 dział  
i moździerzy, 1400 czołgów  
i dział pancernych i około  
1300 samolotów przeciwko  
niemieckiej 6 armii i 4 ar-  
mii panc. oraz wprowadzo-  
nych z odwodów 8 armii  
włoskiej i 3 armii rumuń-  
skiej, które zabezpieczyły  
lewe skrzydło głównego  
zgrupowania wojsk hitle-  
rowskich i 4 armii rumuń-  
skiej na jego prawym skrzy-  
dle.

W wyniku ofensywy ra-  
dzieckiej pod Stalingradem,  
wojska Frontu Południowo-  
zachodniego gen. Watutina  
przełamały front niemiecki  
na północ od Stalingradu i  
posunęły się pierwszego  
dnia około 25 km. Nastę-  
pnego dnia (20. 11.) ruszyły  
do natarcia wojska Frontu  
Stalingradzkiego gen. Je-  
remienki. Obrona niemiec-  
ka została przelamana na  
odcinku 20 km. W wyłom  
ruszyły czołgi i zmotoryzo-  
wana piechota. Próby Niem-  
ców, by powstrzymać natar-  
cie, nie powiodły się. W

dnia 23 listopada wojska  
obu frontów radzieckich po  
przebyciu 120 km połączyły  
się w rejonie Kalacz i So-  
wieckiej, zamykając obwód  
wokół wojsk niemieckich.  
W gigantycznym kotle zna-  
lazła się 6 armia niemiecka  
marszałka F. von Paulusa  
i część 4 armii pancerniej,  
w sumie przeszło 300 tysię-  
cy żołnierzy.

**P**róba przerwania pier-  
ścienia okrążającego,  
podjęta w grudniu  
przez Niemców, nie powio-  
dła się, mimo ściągnięcia  
przez nich silnych odwodów  
z innych frontów ZSRR. U-  
tworzona silna grupa ude-  
rzeniowa (ponad 150 tys.  
żołnierzy) pod dowództwem  
marszałka E. von Manstei-  
na została rozbita przez  
wojska Frontu Stalingradz-  
kiego, zdobywając ważny o-  
środek oporu Niemców —  
Kotelnikowo, uniemożliwia-  
jąc dalszą akcję ratowania  
z okrążenia potężnego zgru-  
powania niemieckiego. Co  
więcej, Armia Radziecka

HENRYK DOBIEGAŁA

niewoli, a 2 lutego złożyły  
broń resztki grupy północ-  
nej. Tak więc 330-tysięcz-  
ne zgrupowanie 6 armii i 4  
armii pancerniej zostało roz-  
bite. Nie licząc strat, które  
Niemcy ponieśli przed okrą-  
żeniem. Ponad 200 tys. żoł-  
nierzy niemieckich, w tym  
24 generałów i około 2500  
oficerów dostało się do nie-  
woli. Na stalingradzkich po-  
bojowiskach znaleziono i po-  
chowano około 150 tys. nie-  
przyjacielskich żołnierzy i  
oficerów.

**W** nocy 31 stycznia 1943  
roku Związek Radzie-  
cki ogłosił ostatecz-  
nym zniszczeniem i wzię-  
ciem do niewoli resztek  
6 armii i 4 armii pancerniej,  
dodając, że wśród oficerów,  
którzy się poddali, znajduje  
się sam feldmarszałek Pau-  
lus, jego szef sztabu, gen.  
Schmidt oraz dowódca 2  
korpusu, gen. Seydlitz.

Ogólne straty wojsk nie-  
mieckich w rejonie Donu,  
Wolgi, Stalingradu wynosi-  
ły około 1,5 miliona ludzi,

przeszła do ofensywy także  
na Kaukazie i innych odcin-  
kach frontu.

10 stycznia 1943 r. rozpo-  
częła się operacja, mająca  
na celu likwidację okrą-  
żonych wojsk Paulusa. Kilka  
dni wcześniej otrzymał on  
radzieckie ultimatum zawie-  
rające żądanie kapitulacji:

„Wszystkim oficerom,  
podoficerom i żołnierzom,  
którzy zaprzestają oporu,  
gwarantujemy życie i bez-  
pieczeństwo, a po zakoń-  
czeniu wojny powróć do Nie-  
miec lub do jakiegokolwiek  
innego kraju, do którego  
jeńcy zapragną się udać.

Całemu składowi osobo-  
wemu wojsk, które się pod-  
dadzą, pozostawiamy mун-  
dur wojskowy, oznaki dys-  
tyngcji i ordery, przedmioty  
osobiste i wartościowe, a  
wyższym oficerom rów-  
nież broń białą.

Wszystkim oficerom pod-  
oficerom i żołnierzom, któ-  
rzy się poddadzą niezwłocz-  
nie, przyznane będzie nor-  
malne wyżywienie. Wszyscy  
ranni, chorzy oraz ci, któ-  
rzy ulegli odmrożeniu, o-  
trzymają pomoc lekarską”.

Ten wielkoduszny gest ze  
strony radzieckiej, skiero-  
wany do morderców setek  
tysięcy radzieckich jeńców  
wojennych, został odrzucony  
przez Paulusa, który pozo-  
stał pod bezpośrednim  
naciskiem samego Hitlera.

W styczniu 1943 r. Paulus  
meldował Hitlerowi, że cier-  
pienia okrążonych żołnierzy,  
wywołane mrozem, głodem  
i różnymi epidemiami są  
już nie do zniesienia, że  
kontynuowanie walki w  
takich warunkach przekra-  
cza ludzkie sily. Hitler w  
odpowiedzi Paulusowi roz-  
kazał:

„Kapitulacja wykluczona.  
6 armia spełni swoją histo-  
ryczną powinność pod Sta-  
lingradem aż do ostatniego  
żołnierza, po to, by umożli-  
wić rekonstrukcję frontu  
wschodniego”.

Po odrzuceniu radzieckie-  
go ultimatum przez dowód-  
ztwo niemieckie, wojska  
Frontu Dońskiego pod do-  
wództwem gen. K. Rokos-  
sowskiego, po potężnym  
przygotowaniu artyleryj-  
skim przeszły do natarcia,  
aby rozciąć niemieckie  
zgrupowanie i zniszczyć po-  
szeregowo jego części.

około 3500 czołgów i dział  
pancernych, 12 tys. dział i  
moździerzy, około 3000 sa-  
molotów, ponad 70 tys. sa-  
mochołów i ogromna ilość  
innego sprzętu bojowego.  
Poniesienie tak ogromnych  
strat w ludziach i sprzęcie  
wywarło katastrofalny  
wpływ na ogólną sytuację  
strategiczną i zachwiało ca-  
łą machiną wojenną hitle-  
rowskich Niemiec.

Angielscy politycy, anali-  
zując sytuację na froncie  
radziecko-niemieckim w  
końcu 1942 roku stwierdza-  
li w swych wypowiedziach:

„Wojna może być skoń-  
czona w roku 1942. Komu-  
nizm Stalina wyłonił naj-  
dzielniejszą armię Europy.  
Komunizm Stalina służy  
nam przykładami patrio-  
tyzmu, który dorównuje  
najbardziej pięknym przy-  
kładom zapisanym w histo-  
rii. Komunizm Stalina stwo-  
rzył najlepszych generałów  
tej wojny”.

Do najważniejszych czyn-  
ników, które przyczyniły  
się do rozbitcia wojsk nie-  
mieckich w rejonie Stalin-  
gradu, jak pisze marsz.  
G. Żukow, należy zaliczyć u-  
miejętność operacyjno-tak-  
tycznego zaskoczenia, praw-  
dopodobny wybór kierunków  
głównych uderzeń, dokład-  
ne określenie słabych  
miejsc w obronie wroga. O-  
gromną rolę odegrała wła-  
ściwa kalkulacja sił i środ-  
ków niezbędnych do szyb-  
kiego przelamania taktycz-  
nej strefy obrony w celu  
całkowitego okrążenia głów-  
nego zgrupowania wojsk  
nieprzyjaciela. Ogromną ro-  
lę w okrążeniu i rozbitciu  
nieprzyjaciela odegrały wojska  
pancerne i zmechanizo-  
wane oraz lotnictwo, a tak-  
że praca partyjno-politycz-  
na rad wojennych, aparatu  
politycznego, organizacji  
partyjnych i komсомolskich  
oraz dowódców, umacniają-  
cych wiarę żołnierzy we  
własne sily, kształtujących  
odwagę i męstwo, pobudz-  
jących do masowego boha-  
terstwa w wykonaniu zadań  
bojowych.

Zwycięstwo wojsk ra-  
dzieckich pod Stalingradem  
zapowiadało początek zasad-  
niczego przełomu w wojnie  
na korzyść Związku Ra-  
dzieckiego. W ten sposób  
Niemcy ponieśli największą  
w tej wojnie klęskę — naj-  
bardziej decydującą o ich  
losie. Od tego czasu inicy-  
atywę strategiczną przejęła  
Armia Radziecka i nie od-  
dała jej do końca wojny.





### Dalszy ciąg ze str. 1

A reszta? Znika w kabinach, do których pukałbyś wtedy na próżno, przeskakując tylko w pośpiesznym rozrywaniu kopert i łapczywym czytaniu pokrytych maczkami kartek.

Zdrowi? Tęsknią? Kochają?...

To dobrze. Można odetchnąć, schować list pod poduszkę, by za kilka godzin, po wachcie, przeczytać go raz jeszcze, by jutro, pojutrze znać go na pamięć i czekać. Czekać na następny.

1.

Już od pierwszych dni rejsu zacząłem uczyć się od nich tego wszystkiego. Czekania i cierpliwości w czasie pełnych napięcia „dyżurów” pod drzwiami kabiny „Pana Radio”, który robił co mógł, aby choć na chwilę, na minutkę połączył nas z domem. Owego wyzłoczenia na listy pod trapez, a także ukrywania swojej tęsknoty przed „statkowymi kpiarzami, odgadującymi w lot przyczynę zamyślenia czy złego humoru — gotowi do zamęczenia każdego, mało odpornego na kpinę nieszczęślika, co to „na morze się wybrał zamiast u żony pod pierzyną siedzieć”... Próbowałem więc być twardy, nie dać poznać po sobie swoich załamania inie-

pokoju. Do czasu. Do czasu, w którym pękło coś w człowieku i jak inni stawali przy burcie, wdychając ciężko i patrząc dłużej w stronę, gdzie o parę tysięcy kilometrów był dom, matka, żona, córka... Tracił do wszystko leżką, tanim sentymentalizmem. I Bóg wie czym jeszcze, ale cóż poradzić, kiedy tak właśnie było. Przez długie cztery miesiące tego rejsu miałem bowiem dość czasu, aby poznać dokładnie smak owej marynarskiej tęsknoty. I kto wie, czy zapomnę go kiedykolwiek...

2.

Nieraz w marynarskim towarzystwie zastanawiałem się i nad tym, jak znoszą ten czas one — dzielące z nami rozłąkę „marynarzowe” — żony, dziewczyny, narzeczone... Czy czekają na listy jak my, wypytują z nadzieją listonosza, zaglądają codziennie do skrzynki, jak sobie radzą, co myślą...

Poznałem je powoli, z ostrych, oszczędnych opowiadań, z pokazanych fotografii — czasem z dumą, czasem nieśmiało, z zażenowaniem. Domyślałem się ich istnienia z zafrasowanych twarzy, z oczekiwań na listy, które musiały — tym razem już na pewno — przynieść do następnego portu, koniecznie grube i koniecznie z dobrymi nowinami...

— Pewnie — wzdychał kiedyś II mechanik. Pamiętam też scenę, jakby to było dziś, jak siedząc w kacie mesy, mówił mi to do siebie, ni to do nas: — Tylko skąd brać te dobre nowiny dla tęskniącego i oczekującego na nie gdzieś tam na końcu świata męża? Skąd wziąć — kiedy rozbrzyknął synalek pilnie akurat potrzebuje ojcowskiej ręki, kiedy córka znów choruje. A nawet gdy wszystko już dobrze, to nie ma z kim zamienić wieczorem paru słów, ułożyć planów na następny dzień, kiedy...

— Kiedy — ty w rejs i żona w rejs — przerywa mu ktoś z kończących kolację mechaników i uprzedzając protesty dodaje: — A pamiętasz tego Witka, co w poprzednim rejsie żadnego listu — najmniejszego nawet słowa nie dostał? W powrotnej drodze, przed Hamburgiem, szanowna żonka przysłała mu depeszę, że by pamiętał o kupieniu jej sylwestrowej kreacji. Drapał się chłopak w głowę, co robić? Tośmy mu poradziła: „Zapakuj swój zapachany smarami kombinizon z maszyny i wyslij...”. No i wysłał. Ladną miała kreację żonka jedna — kończył się wie, wypychając przy okazji z siebie jakiś zapiekły żal i psując humor nam wszystkim.

Cieśla wyszedł z mesy pierwszy, mrużąc coś pod

nosem, po nim wyszli i inni, czując pewnie w sobie, jak drzazga, słowa mechanika. Drzazga, która uwierać może jeszcze długo, na którą najlepszym lekarstwem będzie list lub pośpieszny telefon do domu...

3.

— Ech, gdyby one wiedziały, jak tu jest... myślę przeglądając stare, leżące w mesie numery „Tygodnika Morskiego”.

I wtedy — jak odpowiedź na to idiotyczne westchnienie (bo przecież wiedzą, jakże mogą nie czuć i nie wiedzieć?...) widzę na jednej ze stron tytuł: „Notatnik żony marynarza”.

I czytam: „...co najgorsze, następnego dnia był już w morzu. Kiedy przyszedł z PLO z tą dla mnie okropną wiadomością, byłem zupełnie ogluszona. Zacytowałam ci przez list wiersz Elizabety Bagrianowej pt. „Penelopa XX wieku”. Ten wiersz utkwiał mi w pamięci i powtarzam sobie jego strofy kiedy mi bardzo źle. Sama nie wiem dlaczego. Może dlatego, że wyraża ból wiecznej samotnej kobiety...”

...I ronić łzy nad rozłożoną mapą niby nad szalą mniszą. Myślami gonię po obszarach mórz I po żałokach

dziwnych. I bać się wszystkich Ew na ziemi — Białej i zimnej mieszkanki północy, Ciemnej, płomiennej mieszkanki południa...”

„Zgadzą się — odpowiedziałeś. — Nie jesteś i nie musisz być Penelopą. Rejsy na Daleki Wschód nie trwają lata, a zaledwie miesiące. To przecież nie straszne. Jesteś żoną marynarza i to dosyć długo. Cieszyć się, że wracam do pracy — powiedziałeś — ty tego nie rozumiesz...”

(...) Nie, nie skarżę się, tylko... uczulono mnie na dźwięk słowa „marynarzowa”. Tak, marynarzowa — słyszę stale z różnymi odcieniami zazdrości, zawzięci i pogardy. Ty mówisz, że jesteś dumny ze swojego zawodu, i nawet teraz, po 10 latach gdybyś miał wybierać, nie zamieniłbyś go na inny. Ja też mam być dumna „marynarzowa”? Przed pięć laty patrzono na mnie przez pryzmat nylonowego miścia, który był wtedy szczytem marności elegancji. Potem pytanie o diuki i non irony. Obecnie interesują się, czy mam sztuczne norki i karakuly...

(...) Jeżeli nie podążam za

tobą, swoim zwyczajem, palcem po mapie, nie wiem, gdzie jesteś, czuję się bardziej zagubiona niż statek na dalekich morzach i oceanach. Stale napięcie nerwowe, koszmarny sen spowodowały potworny ból głowy. Nie mogłam czytać ani pisać przez cały tydzień. Dzisiaj jest już 83 dzień waszej podróży. List z Dalekiego Wschodu leci od 7 do 14 dni. Zależy od szczęścia. Być może, że dzisiaj otrzymam wiadomość od Ciebie...

4.

— Pamiętasz? — wychylony przez okno ruszającego powoli pociągu, myśląc tylko o przygodzie, jaką miał być dla mnie ów czteromiesięczny rejs do Afryki na jednym ze statków PLO, zawolałem wtedy na pożegnanie:

— Nie martw się, uszy do góry, zobaczysz, co to znaczy być marynarzową...

— Pamiętam. Doskonale pamiętam — odpowiadała, wyciągając z torebki kolorową pocztówkę. Z Lizbony od Staszka — mówisz cicho, a ja czytam, że po raz siódmy nie zdążył do kraju na święta, że Magda i dzieci znów same, że morze, że marynarski los...

### ZDZISŁAW SZCZEPANIAK



KOD NIE POMAGA

Innowacja „kodowa” miała być uniwersalnym lekiem na terminowość usług pocztowych. Tymczasem z kodem, czy bez — list poleciony wędruje z Warszawy do Łodzi 3-4 dni (chętnie służę dowodami), przekaz pieniężny — to samo.

Spis oznaczeń kodowych nie rozwiązuje kłopotów nadawcy, gdyż większe miasta powiatowe (np. Kalisz, czy Jelenia Góra), mają kilka sztyfów kodowych. Spis nie podaje, jakie ulice należą do danego obszaru doręczeń, zaś nadawca nie wie jakim kodem posługiwać się adresując list do Kalisza na ul. Łódzka, a do Jeleniej Góry na Wrocławską. Co robicie? DR HAB.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI 90-438 Łódź

TELEGRAM

ZDOBYŁ PAN KIBICA STOP DLA LEGII STOP ARTYKUL CUDOWNY STOP CAŁKOWICIE SIĘ ZGADZAM STOP MOJE GRATULACJE STOP I ŻYCZENIA STOP

SZKODA, ŻE TAK PÓZNO STOP TEMAT „PIŁKA NOŻNA” NADAL OTWARTY STOP „LEGIA, LEGIA GOŁA! — MY GOŁI CHCEMY STOP” VIVAT REDAKTOR MAKOWIECKI!!! VIVAT LEGIA!!!

PS. PŁACI GÓRNIK (ZA TELEGRAM), PIENIĘDZY MU NIE BRAK. SŁAWOMIR DARZYCKI (Łódź)

### MUZEUW W RADOMSKU

Radomszczańskie muzeum regionalne należy do najmłodszych w województwie. Z jego powstaniem wiążemy wiele nadziei. Powiat radomszczański nie miał jakos szczęścia do badań nad przeszłością i bibliografii naukową tego powiatu zawiera niewiele pozycji. Korzystna zmiana nastąpiła wyrażnie po roku 1960, od kiedy to coraz częściej goszczą u nas naukowcy z Uniwersytetu Łódzkiego.

Muzeum w Radomsku ma trzy zasadnicze działy: archeologiczno-historyczny, etnograficzny i naukowo-oświatowy. Najbogatsze zbiory posiada dział pierwszy. Zorganizował on wystawę „Pradzieje regionu radomszczańskiego”. Inicjuje dalsze poszukiwania, co zostało uwiecznione sukcesem — odkryciem w dolinie Pilicy, we wsi Pratikowice, stanowiska z okresu halstańskiego.

Dział historyczny reprezentują w zdecydowanej przewadze zabytki z okresu II wojny światowej, przeważnie militaria, zdjęcia i dokumenty. Zbiory etnograficzne są więcej niż skromne, bowiem powiat radomszczański stanowi przystawę „ziemię nieznaną”. Rarytasem etnograficznym jest rzeźba J. Lameckiego z Dąbrowy Zielonej, znana pod nazwą „Strażak”.

Brak jest jednak informacji o poczynaniach muzeum. Wy-

stawy oglądała przeważnie młodzież szkolna, doprowadzona „ciupasem” przez nauczycieli, którzy z racji swego zawodu sprawami tymi interesować się powinni szczególnie.

Osobny problem stanowi działalność naukową muzeum. Przewidzieć ją powinni w pierwszym rzędzie etatowi pracownicy muzeum. I niektórzy z nich przygotowują już prace, które na pewno wzbogacą wiedzę o tym regionie. Chodziło by jednak o szersze podjęcie tematyki regionu radomszczańskiego. I tutaj rola organizatora powinna przyspać Muzeum Regionalnemu. Mieszkała na terenie miasta i powiatu ludzie, którzy zostali już wykształceni na wyższych uczelniach i którzy posiadają przygotowanie do prowadzenia pracy naukowej. Wydaje się, że zorganizowanie takiej grupy nie przekraczałoby możliwości kierownictwa muzeum.

Srodkiem do realizacji tego pomysłu byłoby powołanie przy muzeum koła terenowego Polskiego Towarzystwa Historycznego.

Obok tego należałoby możliwie jak najprędzej przeprowadzić terenowe badania etnograficzne w szeregu wsi najbliższych. Do tej pracy warto wciągnąć młodzież i nauczycieli ze szkół licealnych, których należałoby wcześniej, chociażby wstępnie zapoznać z metodami badań terenowych.

Na osobne zainteresowanie zasługuje tematyka II wojny światowej. W zasadzie poza opracowaniem dr R. Nazarewicz, nie ma żadnych innych prób ujęcia tego zagadnienia. Piękny przykład dał nam tutaj Piotrów, gdzie jeden z uczestników ruchu oporu opracował dzieło 75 pp AK. Tymczasem w Radomszczańskim ludzie posiadający niejednokrotnie wiele wiadomości i materiałów odchodzą, zabierając ze sobą do grobu kawał historii. Wystarczyłoby na początek przynajmniej dokonanie nagrania relacji naocznych świadków wydarzeń okupacyjnych i za-

bezpieczenia posiadanych przez nich dokumentów.

ANDRZEJ ZAKRZEWSKI Kłomnice, pow. Radomsko

### CO ZROBIĆ Z FESTIWALAMI?

W jednym z numerów „Odgłosów” ukazał się felieton Cwieka, traktujący o problemie tzw. festiwalomanii w Polsce. Poglądy autora wywołały listną burzę wśród moich kolegów i przyjaciół. Większość osób identyfikowała się z opinią Cwieka. Znałszy się równie głośno zarzucając mu demontaż faktów i przedstawienie zagadnienia jako zjawiska patologicznego.

Przyznać muszę, że tej grupy osób nie mogliśmy przekonać, a to ze względu na brak zrealizowanych i kompletnych informacji o różnorodności tego zjawiska. Wyliczenie kilku miast i miasteczek, w których corocznie odbywają się festiwale różnego autoramentu, nie załatwia jeszcze sprawy.

Przydałby się wykaz wszelkiego rodzaju festiwali i konkursów (piosenki, muzycznych, kabaretowych, tańca etc.) organizowanych periodycznie (przeważnie corocznie) w Polsce, który z pewnością uwydatniłby rozmiary i wagę problemu.

Stalby się jednocześnie punktem wyjścia dla wnikliwej i twórczej analizy zjawiska i podziału festiwali na pozytywne i niepozytywne, czy bezwartościowe. Fala festiwali, corocznie zalewająca nasz kraj, jest zjawiskiem niepokojącym, powodującym marnotrawstwo w sensie ekonomicznym w skali makro, przekraczające już od dawna granice dopuszczalnej tolerancji.

Wierzę, iż „głos prasy” może nie tylko zapobiec rodzeniu się nowych, nikomu niepotrzebnych festiwali, ale również przyczynić się do redukcji ich liczby. WŁODZIMIERZ ROSZKOWSKI OD REDAKCJI: Wątpimy w skuteczność sporządzania wykazu festiwali organizowanych w Polsce. Te na-

prawde nie nie wnosząca do życia kulturalnego kraju, umiarkują najchętniej same — śmiercią naturalną.

### MARIA RODZIEWICZÓWNA W ŁODZI

Z początkiem lutego br. miała 110 rocznicę urodzin Marii Rodziewiczówny i z tej okazji dobrze jest poznać mało znaną, dramatyczną postać tej powieściopisarki w Łodzi. Urodziła się 2 lutego 1863 roku we wsi Pieniężna koło Grodna. W późniejszym okresie, od 1881 roku zamieszkiwała na stałe w Hruszowej, rodzinnym majątku na Polesiu.

Pisarstwem swym chciała podtrzymać konserwatywny mit o narodowej i cywilizacyjnej misji i posłannictwie szlachty wśród tużemców — Białorusinów. W sumie napisała 36 tomy powieści i nowel. Do najbardziej popularnych, znanych i czytanych należały: „Straszny Dziadunio” (1887 r.), „Dewajtis” (1888 r.), „Szary proch” (1889 r.), „Kwiat lotosu” (1889 r.), „Anima villi” (1893 r.), „Wrzes” (1903 r.), „Joan VIII” (1906 r.), „Atma” (1911 r.), „Lato leśnych ludzi” (1920 r.) i „Gniazdo Białozora” (1931 r.).

Rodziewiczówna była w latach międzywojennych pisarką bardzo popularną. Mimo na ogół nikłej wartości artystycznej, powieści jej umiały ujmować za serce tematyka opisywanych faktów, zdarzeń i przeżyć. Umiała wzruszać, a nawet mocno przejmować i wywoływać łzy czytających...

W czasie hitlerowskiej okupacji przesiedleńców umieszczano w obozie przy ul. Łąkowej 4, na terenie dawnej fabryki Gilksmana. Umieszczano tutaj wysiedlanych łodzian, na okres przejściowy — do momentu wysyłania na prace przymusowe do Reichu, a także innych Polaków, w tym ludność ewakuowaną z terenów wschodnich.

W połowie lutego 1940 roku Regina Nowakowa, jedyna polska pielęgniarka w tym obo-

bie otrzymała poufne zadanie odszukania Marii Rodziewiczówny w transporcie ewakuowanych z Polesia. Odnaleziona starszka, ubrana w barani kożuszek, zaopiekował się nią tutejszy polski lekarz, dr Kauze, kierując ją niezwłocznie do łby chorych i rejestrując jako Annę Wirkiel. W bardzo prymitywnych warunkach owej łby chorych, odczekano do godziny noonnych, i przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności przygotowano jej kąpiel.

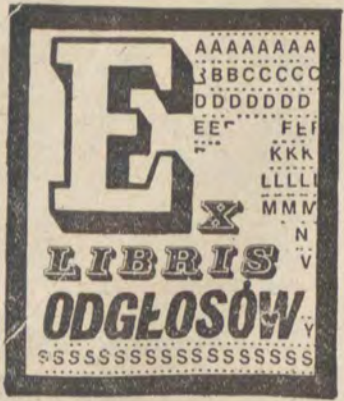
Całą zawieszoną odzież, oraz tak charakterystyczny i nieodłączny dla Rodziewiczówny kołnierzyk męski, w którym znalazł ją wszyscy ze zdjęć i medalionów, spalono w piecyku grzejnym wóde do kąpiel.

Po kilkudniowym pobycie w obozie na Łąkowej, w obozie przed ewakuacją wywiezła do Niemiec, zorganizowano w pewien zimowy wieczór udane wyprawienie Anny Wirkiel, alias Marii Rodziewiczówny, w ubiorze pielęgniarki. Starszka przebywała jeszcze przez kilka dni jako gość pani Barbary Jasieńskiej, w domu przy ul. Żakowej 78. Następnie Maria Rodziewiczówna wyjechała do Warszawy, gdzie weteran w nadziei na przetrwanie, doczekała wybuchu powstania warszawskiego. W tym okresie zachorowała na zapalenie płuc. W stanie ostatecznego wyczerpania choroba i przeżyciami przewleczona ją do Łeszczyńki w Żelaznej koło Skierniewic. Tam zmarła 16 listopada 1944 roku, nie doczekawszy wolnej Polski.

Po wojnie zwłoki Marii Rodziewiczówny ekshumowano i przewieziono do Warszawy. Spoczywa na Powązkach wśród sobie równych — zastużonych pisarzy, literatów, poetów, aktorów, ludzi świata nauki i działaczy.

JERZY KLAMANN Łódź





### V KOLUMNA

„Piąta Kolumna” była złowrogim hasłem — zwrotem zacierpniętym przez faszystowską terminologię z przemówienia Franco, który oświadczył, że cztery jego Kolumny maszerują na Madryt — a piąta jest w republikan-skim Madrycie. Owa „piąta kolumna” to była dywersja, sabotaż, wywiad... Franciszek i Julitta Bernasiowie — autorzy wielu książek dotyczących dzieł drugiej wojny światowej — wydali ostatnio opowieść o dziejach hitlerowskiej „piątej kolumny” w Europie. Sporo już obecnie wiemy na ten temat, wiele zagadnień. Książka Bernasiów adresowana jest, jak sądzić, do nauczycieli i uczniów starszych klas licealnych. Jest więc pewnego rodzaju sumą ocen i informacji. Ale nie tylko informacji.

Franciszek i Julitta Bernasiowie „Piąta kolumna”, Państwowy Zakład Wydawnictw Szkolnych, 1972 r.

### BEZ SZTAMPY

Wydawnictwo Literackie kontynuuje bardzo ciekawą i pouczającą serię pamiętników. Ostatnio ukazał się w ramach raptularz Stanisława Zytyńskiego. Kim jest autor? Odpowiedź zawita. Studiował prawo, potem polonistykę, wreszcie wciągnął go teatr. Po wojnie walczył z bandami, kierował „Artemem” — ale to do rzeczy nie należy, bowiem raptularz dotyczy lat trzydziestych. Opowiada więc Zytyński o swej młodości w Krakowie, o lewicy politycznej, z którą związał się w latach student-ckich, o awangardzie artystycznej... Przez wspomnienia prze-wijają się postacie takich artystów, jak Maria Jarema, Ja-cek Puget, Jonasz Stern, Tadeusz Peiper, Zbigniew Pronasz-ko, Henryk Wiciński... Trafiamy za sprawą autora do tea-trzyku „Cricot”, odnajdujemy we wspomnieniach drama-tyczne wydarzenia lat trzydziestych, jak blokadę „Bratnia-ka” w roku 1937, czy zajęcia marcowe 1936... Trudno to były lata, ale ciekawe, bożone w postaci nie-lanbanalne, które trafiły później do annałów polskiej sztuki. Sporo miejsca poświęca autor na przykład Zygmunta Fija-sowi, który od lat „zdradził” Kraków dla Łodzi. Spotykamy na kartach wspomnień nazwiska znanych dziś działaczy państwowych i politycznych. Sam indeks nazwisk zamiesz-czony na końcu książki (bardzo dobra praktyka WL) za-wiera setki pozycji. Stanisław Zytyński sporządził panora-ma młodego Krakowa lat trzydziestych. Ale nie jest to pa-norama koturnowa — wspomnienia nasycone są anegdotą i humorem — są wszystkie pamiętników. Jest to rzeczy-wicie raptularz bez sztampy.

Stanisław Zytyński „Bez rampy i sztampy”, Wyd. Literackie, 1972 r.

### PODRÓŻ BEZ BILETU

Władysław Kisieliwski napisał trzynaście książek, z których większość poświęcił polskim lotnikom walczącym na Zachodzie w latach ostatniej wojny. Są to książki interesujące, bo interesujący jest temat — autor zresztą nie jest nowicjuszem, pióra używa sprawnie — nie więc dziwnego, że jego książki określić można zwyczajem „czyta się”. Najnowsze wspomnienia Kisieliwskiego rozczarowują jednak. Po prostu autor, a z nim i wydawnictwo, sprzedało czytelnikom stary towar w nowym opakowaniu. „Podróż bez biletu” jest bowiem ni mniej ni więcej tylko odrobnie zmienioną wersją innej książki Kisieliwskiego, noszącej tytuł „Z Torunia do Londynu”, wydanej kilkanaście lat temu. Przypuszczam, że w ciągu tych lat nakład „Z Torunia do Londynu” został doszczętnie wyczerpany. Przypuśćmy, że istniała potrzeba jej wznowienia. Nie upoważnia to jednak ani autora ani wydawnictwa do kamuflażu, do wydawania starej książki pod nowym tytułem. Co gorzej, nie poinformowano czytelnika o tej „przebie-rance” — na sierzdytelku obwołany nie ma na ten temat ani słowa. Piszę o tym na marginesie książki Kisieliwskiego, ale przecież podobne praktyki są ostatnio coraz częstsze. Świadczą one o nieuczciwości autorów do własnych książek — wiadomo bowiem, że pozycja ciekawa i poczytna „pójdzie” także w trzecim i czwartym wydaniu. Co dziwniejsze „Z Torunia do Londynu” jest książką ciekawą, wzbudziła przed laty duże zainteresowanie, nawet merytoryczne pole-miki... Skąd więc ta obawa autora popularnych książek o drugiej wojnie światowej? Podróż bez biletu środkami lokomocji jest — jak wiadomo — drobnym kaniem. Okazuje się — nomen omen.

Władysław Kisieliwski „Podróż bez biletu”, LSW 1972 r.

### OŚWIECIM RAZ JESZCZE

Minęło dziesiątki lat; w miejsce gruzów wyrosły nowe domy, wyrosło i dojrzało całe nowe pokolenie, lecz „czasy pogardy” powracają nieustannie niby odbita fala, zjawiają się w swojej wstrząsającej prawdziwie niby męczącej, makabrycznej sen. Słownik wzbogacił się o dziesiątki słów — symboli: Oświecim, Majdanek, Treblinka... Nie sposób ich zmieni, ani o nich zapomnieć. Wiedział obozu koncentracyjnego Bronisław Mróz-Długoszewski, pisarz zmarły w 1969 r., pozostawił po sobie kilka książek, z których „Rudy Tomek” jest może najgłośniejsza. Lecz prawdziwy talent objawił autor dopiero w swoich opowiadaniach, owych drobnych arcydziełach, surowych w kom-pozycji, pozbawionych dywagacji psychologicznych, wstrząsających a jednocześnie doskonale ilustrujących sprawy i zdarzenia sprzed wielu, wielu lat. Tytułowe opowiadanie „Niepotrzebna łyżka” nagrodzone I nagrodą na IV Międzynarodowym Braillońskim Konkursie Literackim w Ameryce w 1958 roku jest wstrząsającym dokumentem, podobnie zresztą jak wszystkie pozostałe zawarte w zbiorze, bowiem ludzie występujący w nich żyją dotąd i niejednokrotnie stawali przed sądami aby dawać świadectwo prawdziwie o tamtych okrutnych czasach. Mróz-Długoszewski miał nielatywny start literacki, zaczął się właśnie od opowiadań oświecimskich, kiedy to w 1947 r. na-pisawszy pierwsze swoje opowiadanie „Głoniowa bieda” uzy-skał za nie I miejsce w konkursie radiowym. A przecież był już ścieżką wodził po omacku piórem, pracował w ciemności w której przeżyte zdarzenia nabierały niezwy-kłe ostrych barw i kształtów. I tak powstała świetna książka „Niepotrzebna łyżka”.

Bronisław Mróz-Długoszewski: „Niepotrzebna łyżka”, Wyd. Literackie, 1972 r.

**P**onoć 40 proc. terenów stolicy znajduje się pod uprawą rolną, a ponad 2000 ha stanowią lasy. Czy można się więc dziwić, że jest ona obciążona tyłu i tak widocznymi kompleksami prowincji? Że reaguje, raz po raz, na podobieństwo zabitej deskami dziury, a nie metropolii? Cechą znaną miast jest osamotnienie człowieka w tłumie, anonimowość przechodnia, obojętność na zdarzenia nie dotyczące wszystkich, a wreszcie dążenie do podporządkowania innym własnym gustom i modom. To charakteryzowało starożytny Rzym i fin de siècle'owy Paryż, to znamionuje współczesny Londyn i New York.

Shakespeare Company i jest od dwu czy trzech lat z Warszawskimi Spotkaniami Teatralnymi. Sojusz stolica — pipidów-ka nie zawsze ośmiesza, a raz po raz popycha ludzi we właściwym kierunku, zwa-ższa, gdy odrywa ich od szklanych ekranów, czy w ogóle szkła, zwłaszcza mo-nopolowo-stołowego. Sno-bizm nie po raz pierwszy staje się błogosławieństwem i ostatecznie obojętne, czy Iks lub Igrek pójdzie na świetny spektakl Swinarskiego, Brooka lub Jarockiego dlatego, że czuje potrzebę obcowania z ich sztuką, czy też dlatego, że chciałby, aby parę osób zobaczyło w teatrze prócz Szekspira i Witkacego, również jego. Warszawskie Spotkania Teatralne spłodzone przed laty w szlachetnym zama-ryze umożliwienia teatrom prowincjonalnym zaprezen-towania się na deskach sto-łecznych scen. I nie trzeba było długo czekać, aby wy-szło na jaw, że daj nam Bo-że taką „prowincję” w War-szawie, tym bardziej, że to właśnie w spotkaniowej konfrontacji teatry gospoda-ry poszły na deskę i zosta-ły dość szybko wyliczone do dziesięciu. W ubiegłym roku kłębiący się pod Pałacem Kultury i Nauki tłum chętnych zoba-czenia Spotkań wyonil

Temperatura sali jest odczu-walna przez cały spektakl, młodzi widzowie reagują spontanicznie, atmosfera wy-czekiwania „fuksa na to-rze” udziela się wszystkim. Bowiem fuksy są najmil-szym urozmaiczeniem Spot-kań zastępując brak tzw. imprez towarzyszących. Funksem stał się Teatr Polski z Bielska-Białej, mi-mo, że nie jego lecz Teatru Starego z Krakowa spekta-kle były najlepsze. Ale osta-tecznie, któż wątpił w „Mat-kę” zrobioną przez Jarockie-go i znane większości fa-chowców przedstawienie Swinarskiego „Wszystko do-bre, co się dobrze kończy”. Natomiast bardzo porządni, choć akademicy „Perso-wie” i dobra „Kartoteka”, przywiezione przez Józefa Parę z Bielska-Białej — to zaskoczenie. Mały powiato-wy teatr, obarczony uciążli-wymi objazdami, nie dyspo-nującymi gwiazdami (któż się zdecydował zaangażować do miasta, gdzie nie ma te-lewizji, radia — słowem „bo-ków”?) pokazuje szlachetne, czyste, w najlepszym tego słowa znaczeniu tradycyjne, widowisko antyczne. Chór — spełniający tak ważką w „Persach” funkcję, jest ustawiony bezbłędnie. Za-razem wieloosobowy i zindy-widualizowany. Każdy gest, ruch, grymas Chóru zrobiony jest od początku

byciem do Warszawy wi-dzieli. Niestety nie zna-lizem! Prawdopodobnie i tu zadziałali — zgodnie z na-rodową tradycją — tajemni-czy „oni”, odpowiadający u nas za wszystkie niepowo-dzenia, kłeski i błędy. „Oni”, którzy są przeciwwagą kra-snoludków mających wyko-nać to, czego nam się nie chciało. Teatr Nowy wystąpił ze słabą sztuką dobrego dra-maturga. Ze „Szczęśliwymi dniami” Arbusowa. Wszy-stko, co tylko można, zwo-żyło się na sromotną kłeskę tego spektaklu: skandaliczny przekład upstrzony zwrotami w rodzaju „najszerza klatka piersiowa Związku Radzieckiego” (cytuje z pa-mięci), bezradność reżyser-ska, delikatnie mówiąc, an-gielska „wpływologia” w scenografii, fatalna gra ak-torów (poza Dobrosławem Materem i Maciejem Sta-szewskim). Gdyby ktoś chciał rozmyślnie położyć Arbusowa na obie łopatki nie mógłby zrobić tego lepiej niż Teatr Nowy. War-to sobie zadać pytanie, jak się stało, że kierownictwo tego Teatru dopuściło do eksploatacji taki spektakl?

### ANDRZEJ HAUSBRANDT

## SUKCESY I NIEPOROZUMIENIA

W Warszawie, mimo milio-na trzystu tysięcy mie-szkańców, trudno przejść Marszałkowską czy Krakow-skim Przedmieściem, by nie odkilonić się parę razy, a od Żoliborza po Służewiec i od Grochowa po Wolę nie spo-sób znaleźć kawiarni do któ-rej w najnieodpowiedniej-szym momencie nie wkroczy-ją jakiś znajomek. Z reguły spory tłumek zbiera się wokół każdego skwepku, na którym gryzą się dwa psy, nie mówiąc już o sensacji jaką budzi banalny przecie i łatwy do napotkania wy-padek lejącego się po py-skach pijaczków. Mody na krawaty i sens istnienia są zmieniane według rozkładu lotów LOT („Lotem szyb-ciej”) na trasie Warszawa—Paryż, czy Warszawa — Londyn. Każda nowość, nie-zwyczajność i niecodziennosć są kupowane tu od reki i wita-ne z euforycznym zachwy-tem. Warszawa żyje bar-dziej światem otaczającym, niż sobą tak, jakby brak jej było wewnętrznej materii dla sylenia trawiącego ją gładu wrażeń.

Szczególnie wyraźnie owe prowincjonalizmy naszej mi-lionerki odbijają się na ży-ciu kulturalnym. Nie tylko dlatego, że np. kilka tea-trów mamy spod strzechy, a więcej słuchaczy koncertów symfonicznych dorobili się wywodzictwo zielonogórskie, koszalińskie czy polskie, niżli siedziba Filharmonii Narodowej. Nie „warszaw-ska wiocha” to przede wszyst-kim stosunek do wszelakiego importu kulturalnego: pełen naiwnego, prostodu-sznego zachwyty, zaprawio-nego chęcią zabawy za wszelką cenę i zademonstro-wania własnego w tej za-bawie uczestnictwa. Pokaza-nie się jest tak, częstokroć ważniejsze niż zobaczenie, a wypowiedzenie niż wysłu-chanie.

czary rynek biletowy. Pew-na moja znajomej za kartę wstępu na „Biesy” w reży-serii Andrzeja Wajdy ofer-owano 500 złotych, a bile-ty na inne spektakle z wol-nej (i obrotnej) ręki ważyły się w granicach 100—200 zł. W roku bieżącym tłoki się powtórzyły, choć cen już tak nie wyhoosowano. Może tea-tromanów i teatrosobów wypompał Peter Brook i Henryk Tomaszewski — o-baj wysoko podnoszący nie tylko sztandar sztuki, lecz i ceny. Brook był po 90, a To-maszewski po 60 złotych za miejsce. Tym nie mniej sa-ka Teatru Dramatycznego — miejsce Spotkań — była na wszystkich spektaklach za-pelniona do ostatniego de-cymetra. Tak w przejściach między rzędami, jak po bokach proscenium. Młodzież okupująca te tereny tworzy-ła najlepsze ramy przeglą-du, była najbardziej opty-mistycznym zjawiskiem Spot-kań. Okazało się znowu, że teatr jest potrzebny, o ile potrafi zaciekawić, o ile nie wiadomo z góry, jak i przez kogo będziemy się nudzić, a zaczynamy grać w nieznane.

Podziwiam odwagę Teatru, że zdecydował się wy-wieźć „Szczęśliwe dni” do Warszawy i nawet nie umiem mu współczuć z powodu przyjęcia, jakiego doznał. Zarówno u publiczno-sci, jak i krytyków. Złe się stało, że jedyna sztuka radziecka, jaka zna-lażła się na VIII Warszaw-skich Spotkaniach Teatral-nych, to były właśnie owe nieszcześnie „Szczęśliwe dni”. Złe się stało, że nikt nie zadał sobie trudu po-zzukania trochę dalej, a przecież już w Gdańsku O-kopiński zrobił dobry spe-ktakl Leonowa „Polowcań-skich sadów”, przecież jest jeszcze parę teatrów z re-pertuarem radzieckim na scenie. Nie było żadnego po-wodu, aby łądować do Spot-kań to przedstawienie, tak jak były słuszne powody, aby dobra realizacja, dobrej radzieckiej sztuki znalazła się na tej ogólnopolskiej im-prezie właśnie w okresie obchodów 50-lecia ZSRR. Po Spotkaniach odbyło się w Stowarzyszeniu Dzienni-karzy Polskich zebranie Klubu Krytyki Teatralnej, na którym wszyscy (co jest rzadkością w tym rodzin-ny gronie) doszli do zgod-nego wniosku, że byłoby le-piej, gdyby w przyszłości organizatorzy festiwalu po-zastolecznych teatrów, wi-dzieli przynajmniej to, co zapraszają. Jeżeli nie ma żadnej komisji oceniającej, jeżeli nie bierze się pod u-wagę głosów ankiety dwuty-godnika „Teatr” — to przynajmniej warto byłoby zo-baczyć na własne oczy „to-war”.

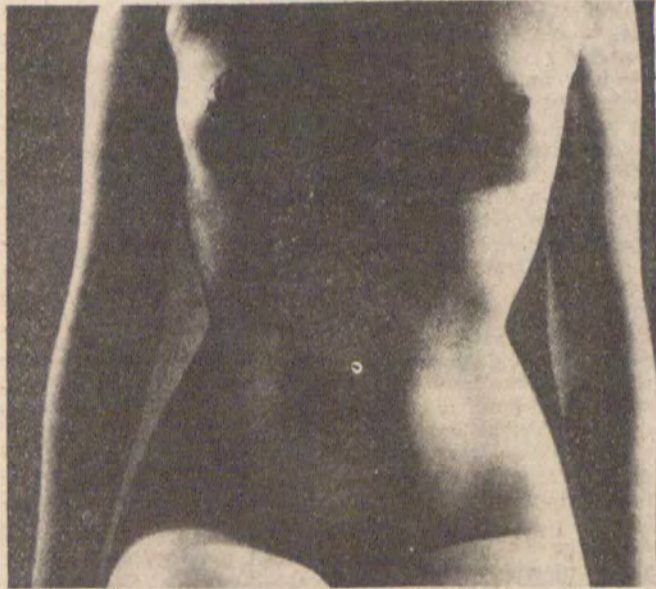
Na sześć pozycji repertua-rych VIII już Spotkań Teatralnych — 3 pozycje wypełnił Kraków, 2 Bielsko-Biała i 1 Łódź. Mieli-smy do wyboru trzech au-torów polskich (Bryll, Ró-żewicz, Witkacy), dwu kla-syków (Aischylos i Szekspir) i jednego pisarza radzieckie-go (Arbusow). Było więc w czym wybierać, tym bar-dziej, że wystawiali swe in-scenizacje tacy reżyserowie jak Swinarski, Jarocki, Sku-szanka.

Warszawskie Spotkania nie są — na szczęście — konkursem, nie mają jury, nagród i wyciągu po laury. Dzięki temu odbywają się w atmosferze spokoju i pew-nego namaszczenia, co nie oznacza, że nie dają okazji do wymiany poglądów i oceny poszczególnych tea-trów, reżyserów i aktorów. Zarówno w kategoriach o-gólnych, jak i przybliżając do teatrów stołecznych. Jest to jednak giełda nieoficjal-na, a więc pozbawiona sty-mulatorów w rodzaju: „Jak na... to dobry”, „w takich warunkach interesujący”, „przy tej obsadzie znośne”, „przy tej obsadzie znośne” itd. Vox populi sądzi na gorąco, bezwzględnie i — na ogół — sprawiedliwie.

Drugą pozycją tego Tea-tru była „Kartoteka” wy-reżyserowana także przez Parę, Bohatera obsady prapremierowej (przed laty w Teatrze Dramatycznym w Warszawie). „Kartoteka” nie jest sztuką łatwą, podobnie zresztą jak cała twórczość Różewicza (prócz napisanej po bożemu, ale za to naj-słabszej „Grupy Laokoon”), lecz odznacza się wyjątko-wą odpornością na działanie czasu. Mimo, że bohater jej wyprowadzony jest wyra-źnie z epoki wojny i powo-jennych konfliktów, to prze-cież tyle spraw i problemów ma tu charakter uniwersal-ny, że można — zbywając troski o aktualne odniesie-nia polityczne „Kartotek” — grać ją nadal bez zmian i uzupełnień. Niestety tej odwagi zabrakło Parze i za-czał „fryzować” sztukę na gazetową aktualność, nie darując nawet recenzen-towi teatralnemu jakiegoś „Głosu Beskidzkiego” czy czegoś w tym rodzaju i u-zupełniając różewiczowski rachunek sumienia z lat czterdziestych i pięćdziesią-tych importowanym z inne-go kalendarza współczesnej historii hasłem „pomoże-my!”. Mimo tych potknięć Różewicz ocalał, a sam Para bardzo pięknie poprowadził główną rolę Bohatera. Anty-sukcesem Spotkań stał się występ Teatru No-wego z Łodzi. Już po wszy-stkimi usiłowałem odszukać tych, co podjęli decyzję sprowadzenia spektaklu, tych, którzy go przed przy-



# VENUS



## Dalszy ciąg ze str. 1

Cofnięta w głąb ulicy fasada pałacyku, pokryta jak liszajem niezliczoną ilością tabliczek i szyldzików, informuje o zagnieżdżonych tu od lat instytucjach i towarzystwach. Na parterze, w trzech niewielkich salach, wisł słońce na podłogi po suficie TO właśnie. TO, co stało się przedmiotem fascynacji i zgorznięcia, niewybrednych ataków i spontanicznych oklasków, hołdów, westchnień i opłukań, wisł sobie spokojnie TO, co rozpętało burzę protestów, stało się obiektem przestępstwa i naukowych dywagacji, postawiło jednych pod

powaną i liryczną. O Nagość wyzwoloną, czyli krótko mówiąc o obnażone ciało „młodej” kobiety wszystkich kontynentów i ras, poddane artystycznej penetracji obiektów praktyki, zorki, pentaxa, exakty i starta. Słuszną sprawą zwyciężyła, choć zwycięstwo nie było łatwe. Ale czyż w cenie są łatwe victorie? I tak mamy „na ścianach gołe panie, i z zadróżką patrzmy na nie”. O tempora, o mores! Czyż po to topiła się Wanda?

...W zasadzie wszystkie najpiękniejsze rzeźby antyczne są nagie lub półnagie. Są to postacie bogiń — Minery, Dia-

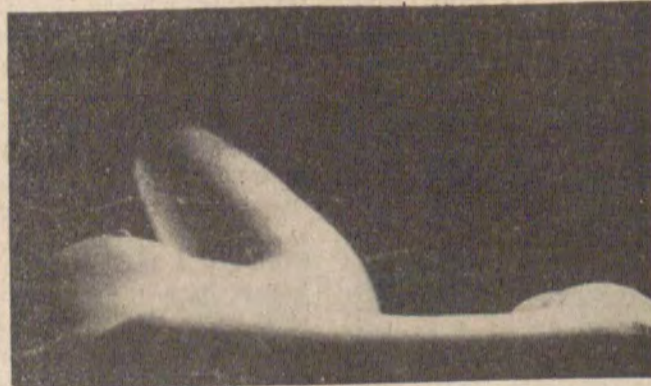


pręgiem opinii publicznej, a dla innych miało być kluczem do epickiej nowoczesności, kagankiem rozjaśniającym ciemność. Z szacunkiem spoglądam na parkiet wyfroterowany muzealnymi kapciami — a więc na tym to parkiecie trzy lata temu kilku Sprawiedliwych, a więc Odważnych i Nieugiętych stoczyło pierwszy w dziejach Smoczego Grodu a także i Rzeczypospolitej święty bój z przeważającymi siłami niedopieczonych i skoltunionych, zakutanych w kaftany pruderii Sarmatów (i Sarmatek) o Nagość nierzemnie osłoniętą. Nagość poetyczna, naturalna, nieskre-

ny, Wenus, czy też nimf, które są zawsze przedstawione nago, bądź też tak są ubrane, że można łatwo odróżnić kształty ich piersi, pośladków i brzucha...“

Angelo Decembrio — De Politia Litteraria.

Wpis do Złotej Księgi: „My mając do czynienia z szynami i podkładami uważamy je za ładniejsze i więcej stosowne niż fotografie tu prezentowane — Kolejjarze”. (Na pewno myślał tak samo i Blacharze, i Szafniarze, i Sławiści i Cykliści, i Murarze i Bramkarze, Górniczy i Urzędnicy, Kominiarze i Windziarze... tylko ci z Krakowskiego



Towarzystwa Fotograficznego sądzą uparcie, że „ciało ludzkie nie jest tylko narzędziem przyjemności seksualnych” — przyp. A. G.).

Już starożytni — trudno, proszę Czytelnika, bez Greków się nie obejdzie — a więc już starożytni odkryli ową prawdę, że jeżeli coś ma być podane ładnie, przyjemnie, efektownie, smacznie, atrakcyjnie, inaczej, odświętnie, z fasonem i szfungsom, zaprezentowane extra na wynos i z pompą, to musi to zrobić albo musi przy tym przynajmniej statystować kobieta, obowiązkowo ładna, w miarę możliwości ubrana niekompletnie, albo też wcale — ot, jakaś bransoletka, najlepiej złota na kostce nogi lub kolczyk w uchu (lub w nosie — to zależy już od regionalnych upodobań estetycznych). Dobry gust w tych sprawach uzależniony był oczywiście od ilości kobiet, uczestniczących w danej imprezie, im więcej ich było — tym lepiej. Każdy towar wtedy, niezależnie czy była to pieczona dziczyzna i wino podczas uczty, czy bojowe słonie na sprzedaż, nabierał w takiej oprawie innych smaków i innych wartości. Drobny fakt, że na dworze niektórych władców babilońskich na przykład, po ucztach zabijano wszystkie usługujące niewolnice, nie zmienia tu niczego i o niczym nie świadczy. Wszak naczynia, na których jedli i z których pili owi władcy również niszczone...

Ogromnego spustoszenia w tej koncepcji prezentowania, zachwalania i ozdabiania dóbr doczesnych, materialnych i duchowych dokonało średniowiecze. Wtedy to właśnie, zakrywając szczerze kobiecie (a także i mężczy) ciało, odkryto jednocześnie, iż kobieta jest siedliskiem Szatana!... Nareszcie renesans, dyskontując kompetencje diabła wydarł z niego boską Venus Anadyomene i z miłością i upodobaniem rozbierał także wszystkie ziemskie Venus...

O znakomity Giorgione, boski Tycjanie, o zmysłowy Palma il Vecchio, o Parysie Bordone, o wy, cudowni malarze rozespianych i nagiach Wener — wierzę, ludzkość zawdzięcza wam wiele. Nic już potem, ani wojny ani pokoje, ani papieskie encykliki, ani jezulickie habity, ani rewolucje ani anarchie, ani protestanci, wiktoriańskie ani kalwini nie zdołali na powrót ubrać kobiety. Jej ciało stało się pierwszym tematem sztuki, najtrudniejszym i najwznieśliwszym zaraniem. (A kiedy fotografia stanęła na obie nogi, z zapałem pośpieszyła w sukurs malarstwu i rzeźbie). I trzeba oddać sprawiedliwość niewiastom, że podobało im się to zainteresowanie ich ciałem. Pozwały chętnie i chętnie oglądały siebie oczyma artystów. Ich udział w powstawaniu i rozwoju sztuki był ogromny, były bowiem tematem wdzięcznym i inspirującym. Wiedziały o tym i były z tego wielce dumne. Między Bogiem a prawdą są nadal — bo przecie w naszym wieku bez obecności ich ciała nie dzieje się nic, nawet w sztuce awangardowej...

Wpis do Złotej Księgi: „Wszystkie te kobiety, które się dają fotografować,

są podle i głupie. Najfajniejsza jest moja narzeczona. Ona się wstydzi nawet w halecce...”

Kobiecy ciałem reklamuje się dziś wszystko — od pasty do butów po komputery. Rozneglizowana dziewczyna stała się znakiem fabrycznym obecnej cywilizacji. To naprawdę ładnie z naszej strony!

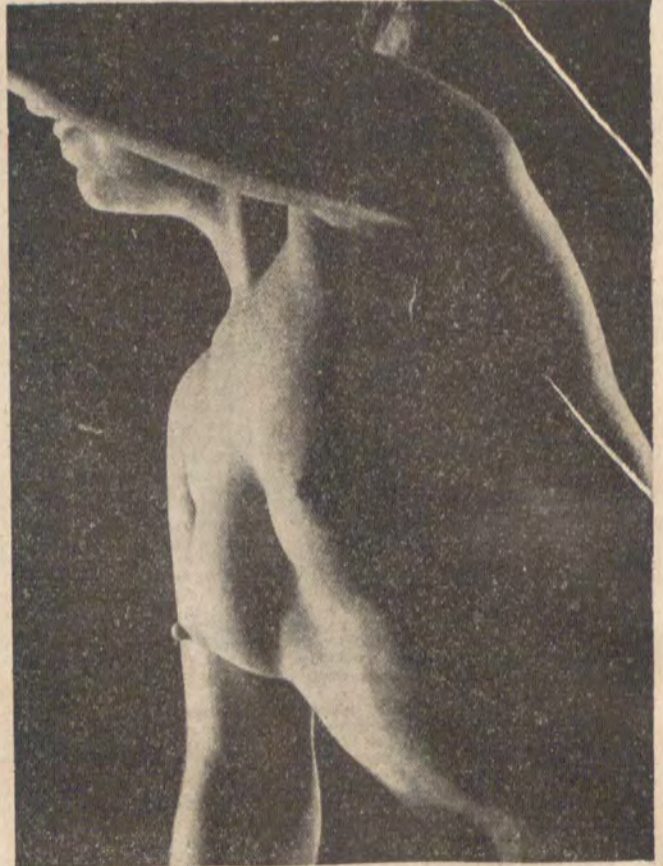
Wpis do Złotej Księgi: „Jako nauczycielka wyrażam swe oburzenie na propagowanie zdjęć pornograficznych, które pobudzają rozwijają niskie instynkty, co w rezultacie prowadzi do prostytucji (a w związku z tym do szerzenia się chorób wenerycznych) oraz masowych gwałtów...”

Angelo Decembrio w swoich „De politia litteraria” notuje monolog księcia Lionello d'Este, kolekcjonera i humanisty, wygłoszony na dworze ferraryjskim w roku 1450. Traktuje on o problemie nagości w sztuce. Z jego wywodów płynie wielkie zaufanie do Natury, niezłomna wiara w jej piękno i prawdę. Jego zdaniem Nagość, najwspanialszy twór Natury winna być przedstawiana w całym blasku swego piękna, nieosłonięta niczym, żadnym kostiumem, on to bowiem czyni, że dzieła sztuki się starzeją, przemijają tak szybko jak moda. Na poparcie swych tez Lionello przytacza historię sądu Parysa. Otóż Parys, pragnąc wywiązać się możliwie najlepiej z postawionego przed nim zadania, kazał kandydatkom do miana Miss Universum rozebrać się do naga, zdjąć szaty wspaniałe i ozdoby, którymi okrywały swe wdzięki. Używając terminologii neoplatońskiej — kazał im... „porzucić piękno sztuczne i ukazać piękno rzeczywiste”. Opowiadał się więc Lionello za „beta disornata” w sztuce, stojąc tym samym w opozycji do koncepcji Alberta „beta ornata”, czyli pięknemu ciału ubranemu. Jakże Tycjan głęboko rozumiał Lionello. On pędzłem głosił prawdę, którą ksiądz Ferrary głosił słowem — piękno ciała jest pewnikiem. Żaden z nich na poparcie swych przekonań nie przywoływał ani legendy witrażowskiej, ani neoplatońskiej mistyki, starczał im bowiem argument natury artystycznej — sztuka antyku.

Jest taki obraz, Droga Nauczycielko, Tycjana obraz „Mężczyzna grający na organach i Wenus”. Ona naga (kompletnie naga, Droga Nauczycielko), rozwaalooona na łożu, zwrócona do nas całym przodem swego ciała. On ubrany, przy spadzie, nawet muzyką ją zabawia — istna chata i adapter, szkło też się pewnie gdzieś poniewiera i On ma oczy utkwione w Nią... i gdzie patrzy? Nie na usta, nie na piersi krągłe, nie na pępek na wet... ach, Nauczycielko Droga — niskie instynkty, prostytucja, gwałty i pornografia. I dlaczego takim pacykarzom królowie pędzle podnosili?

Tak, tak, aby pouczać kogoś, trzeba samemu wiele wiedzieć i wiedzę głęboko odczuwać. A może, Ty, Nauczycielko, uczysz języka polskiego albo biologii (to prawdopodobne) i dyro wlepił ci dodatkowo lekcje z estetyki, z wychowania plastycznego? Ale bym się śmiał, gdybym trafił w dzięsia. Tylko, że byłby to śmiech gorzki i smutny.

Wpis do Złotej Księgi: „Do szarych ludzi! Człowieku! Patrząc na te kobiece ciała, które już nie nie potrafią ukryć przed bydlęcym wzrokiem mężczyzny, odczuwam, jak bym siedział na kobiecie a wszystkie cztery ściany odpadły, ukazując moją głupią mi-



ne tłumowi jednostek, lękających zmienności dnia powszedniego. Sprzeciwiam się kategorycznie podobnym wystawom, które kierują ludzkie uczucia na ślepe tory seksualnych zabawek. To ci ludzie, niepowołane jednostki, echa z miłości zrobić rzecz oczywista, opierająca się na rzeczywistych odczuciach jak piękne kształty kobiecej urody. Miłość, która wywodzi się z mistycznej kolebki człowieczej uczuciowości, przetrwa i pozostanie naszym jedynym celem w życiu — Szary Człowiek — hippies jestem”.

„Gdyby Apelles nie namalował Anadyomene, pozostałaby



ona wiecznie pogrążona wśród fal” — parafrazuje Owidiusza Lodovico Dolce...

Wpisy do Złotej Księgi: „Sześć złotych za obejrzenie żywca to doprawdy zdzierstwo”.

„Czy Kraków jest aż tak biedny, aby się musiał na babskiej dupie (przepraszam) bogacić? (mgr Zbigniew Zablocki)”.

„No i wreszcie nie trzeba patrzeć na to wszystko przez dziurkę od klucza, a droga pani, bardzo miła i ładna mogłaby sprzedawać bilety w stroju co najmniej toples, wtedy cena 6 zł robiłaby mniejsze wrażenie. Niech żyje walka z pruderią! (Sympatyk z Tarnowa)”.

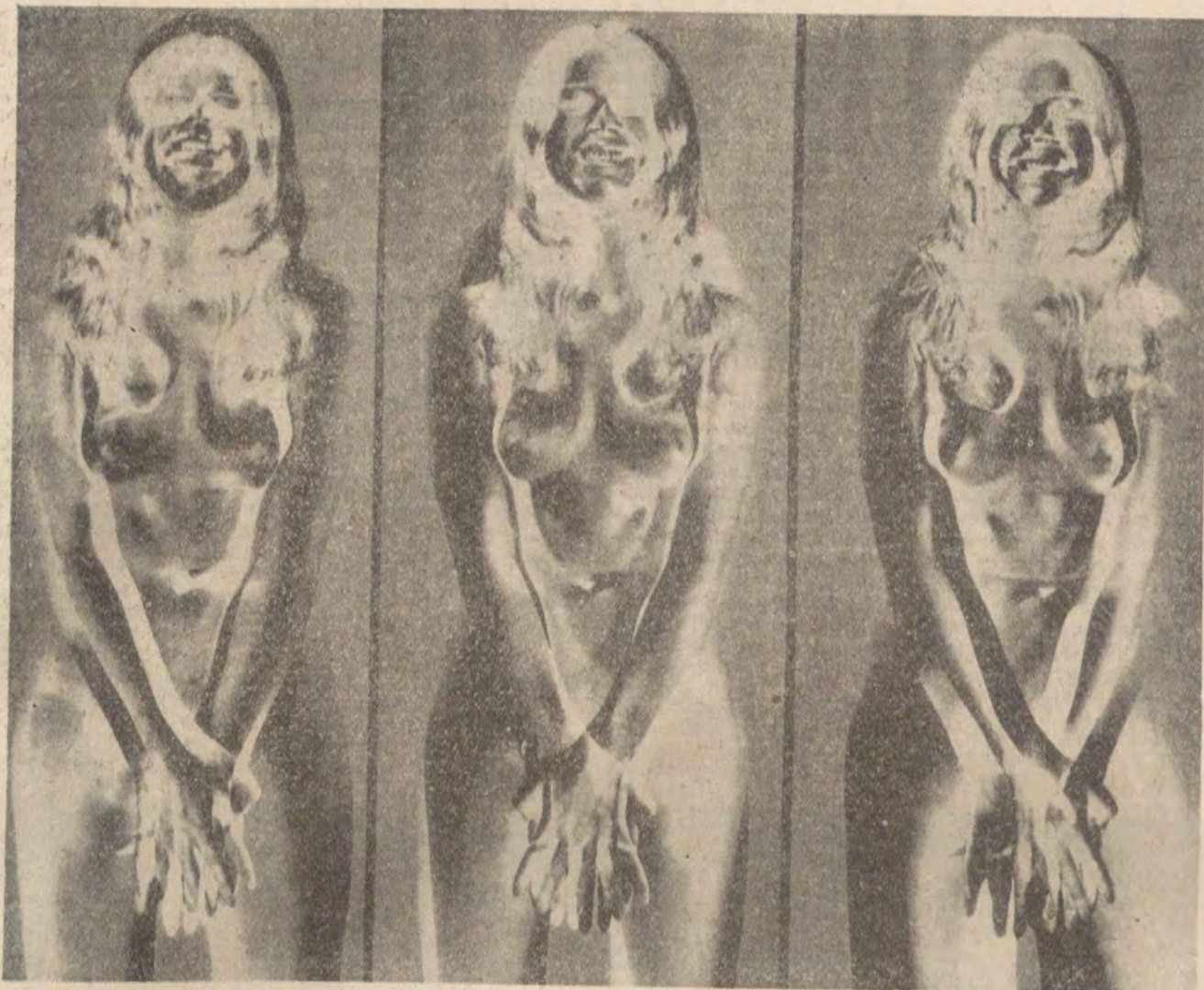
Od trzech lat „wenusy” cieszą oczy jednych, a de-

prawują innych. Obecna, trzecia wystawa w składzie międzynarodowym, otrzymała od FIAP (Federation Internationale de l'Art Photographique) trzy złote medale, które są najwyższym wyróżnieniem światowym za twórczość fotograficzną. Niemniej otwarcie obecnej wystawy, która zbiegła się z jubileuszem 75-lecia działalności Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego, poprzedzona była licznymi wstrętami, ale tu sięgnę po cytaty z komunikatu KTF: „Pewne lokal-

ne czynniki krakowskie — nie licząc się zupełnie ze skutkami ich decyzji, z możliwościami międzynarodowej kompromitacji, z uporem godnym lepszej sprawy usiłują nie dopuścić do tego, by Salon „Venus 72” doszedł do skutku”. Cóż, na takowe dictum chciałoby się powiedzieć: tak, tak, krowa to ładny ptak.

Pominę więc tu fakt nieistotny zupełnie w tym kontekście, że ponad 840 autorów z 46 krajów nadesłało około 4.000 fotografii — aktów i portretów kobiecych. A także pominę taką nieznaczącą nic zgola cyfrę 240.000 osób, które zwiedziły wystawę „Venus 70” (na marginesie dodam jeno, że liczba osób, które obejrzały „Sztukę Meksykańską” w Muzeum Narodowym jest o wiele mniejsza, choć uważana była dotychczas za re-





cordową). Natomiast zatrzymam się przez moment na komunikacji prasowym KTF z dnia 25.I.1972 r., który informuje: „fakty oraz gorące dyskusje na temat wystaw „Venus 70” i „Venus 71”, opinie na temat ich wychowawczej roli w przełamaniu pruderii i zacofania, w uczeniu i popularyzowaniu zdrowego, właściwego spojrzenia na akt kobiecy (jeden z czołowych publicystów nazwał wystawę „Anty-porno Targi”), jak również i stale rosnące zainteresowanie sprawami seksu, wychowania seksualnego, stosunku do tych spraw młodego pokolenia, różnice w poglądach na te kwestie dwóch generacji — zachęciły Zarząd KPF do zorganizowania spotkania-dyskusji z udziałem znanych publicystów, naukowców psychologów i socjologów, seksuologów i psychiatrów, przedstawicieli sądownictwa i MO, środowisk twórczych, studentów i innych zainteresowanych. Roboczo temat dyskusji: „Sztuka i seks — ich funkcja i rola w życiu społeczeństwa wczoraj, dziś i jutro — opinie, wnioski i propozycje”. W coś jest grane — jeno w co?

Szanowna sztuka fotograficzna (wszak przyjęto cię po długich targach do rodziny sztuk pięknych), a więc szanowna sztuka, ktoś przagnął cię tu wykiwać. Zrobić w capa. Nie tylko zresztą ciebie. Lecz ty, jak na sztukę prawdziwą przystało, dałaś sobie z tym radę znakomicie.

KTF pod prejęciem opinii musiało się bronić, a ponieważ argumenty przeciw wytaczane były poniżej pasa, nie można więc zbyt surowo oceniać idiotyzmu takiego spotkania, zwłaszcza w takim kontekście i w takiej atmosferze. W cytowanym programie KTF nie padło ani razu słowo sztuka, estetyka, artysty z m... Ano, nie padło. Za to są tam jakieś „zdrowe, właściwe spojrzenia na akt kobiecy”, jest „seksualne wychowanie”, jest stosunek do „tych spraw”, są poglądy „dwóch generacji na te sprawy”. Dziwne i anormalne, ale za to ciekawostka.

Wpis do Złotej Księgi: „Jako specjalista seksuologa (...) z dużym zdumieniem obserwowałem reakcję młodzieży

na eksponowane fotografie. Reakcje te były zdrowe, bardziej zdrowe niż przypuszczałem. Jestem przekonany, jako naukowiec, że tego typu wystawy powinny być kontynuowane dalej i przez to spełnia swą rolę wychowawczą (...).”

Gdzie jest powiedziane, że sztuka powinna pełnić funkcje wychowawcze, zwłaszcza w „tych sprawach”? Poza tym, sztuka, jeżeli sztuka była, zawsze w dziwny sposób oddziaływała na człowieka.

Wiem poza tym, że robię nie aferę pod płaszczykiem robienia kultury, to rzecz wielce niekulturalna.

Wpis do Złotej Księgi: „Czy nie więcej wrażenia robi jedna ciekawa twarz od niezliczonej ilości nagich piersi i tyłków?” (Nie — przyp. A. G.).

Nie, nie mam pretensji do KTF o „te afery”. Tak jest, że ci, co chcą coś zrobić, coś przełamać, coś zmienić, są z reguły sami, zdani na własne, często nie herkulesowe siły. Mam pretensję do tych, co zmusili KTF do zorganizowania takiej imprezy, co dosiadają chabry zacofania, pruderii i pseudomoralności, szarżują znów spod Mławy i dojeżdżają, o dziwo — aż pod pałacyk Pugetów.

Stan sanitarny naszych publicznych szaletów budzi wciąż niepomierne zdziwienie zagranicznych gości. (z prasy).

Jesteśmy na jednym z ostatnich miejsc wśród krajów europejskich, jeśli idzie o spożycie mydła na głowę ludności. (Z prasy).

Szkolnictwo rodzime, jak do tej pory (a mamy rok 1973) nie wypracowało modelu wychowania seksualnego, nie wypracowało też modelu wychowania estetycznego. Wychowanie obywatelskie jest ważne, ale obywatel od czasu do czasu kładzie się do łóżka z jakąś obywatelką. Ponadto obywatel od czasu do czasu

ma trochę wolnego czasu i coś z nim musi zrobić — mógłby pójść na przykład na wystawę grafiki Chagalla, albo na „Venus 72”, albo pod budkę z piwem.

„Dobre i złe leży przed



ludźmi po to, aby rozsądny człowiek wybierał to, co lepsze” — pisze Albrecht Dürer.

Idę wolno przez ośnieżone Planty w stronę dworca — bo do Łodzi czas wracać. Płatki wirują w świetle latarni, przede mną chłopak i dziewczyna, objęci w pół. On ma włosy dłuższe od jej włosów, brodę patriarchy. Zatrzymują się co kilka kroków i chłopak zcałowuje z twarzy dziewczyny płatki śniegu. Jej uśmiech dzwoni jak kryształowy dzwoneczek... Zaraz, że co? Ze sentymentalny jestem? Dobrze, nie będę — a więc czy wiesz, Szanowny Czytelniku, skąd wziętem tytuł do niniejszego? Z wpisu do Złotej Księgi wyłożonej na wystawach „Venus”. W całości

brzmi on tak: „Szanowny Panie Bąk — przestań Pan fotografować moją żonę. Z poważaniem, Kochający mąż”. Poza tym nie lubię długich włosów, ale nie lubię też fryzjerskich wąsików. Ale co z tego?

P.S. Wpis do Złotej Księgi (damski): „My chcemy aktu męskiego. My też się chcemy popodniecać”.

P.P.S. Zainteresowanych tematem pragnę uprzedzić, że wystawa „Venus” gości już w Łodzi. I my sobie będziemy mogli použíwać.

ANDRZEJ GRUN



Wszystkie zdjęcia pochodzą z Krakowskiej Wystawy Fotograficznej „VENUS”.

**S**ezonowe przyzmiarki różnych propozycji organizacyjnych i programowych w polskiej oświacie, jak dotychczas miały charakter wycinkowy — dotyczyły niektórych tylko problemów i to nie zawsze najważniejszych. Planowana reforma systemu oświaty ma dać odpowiedź na pytanie: jaka będzie polska szkoła jutro?

Nie przypadkiem odpowiedź ta zbiegnie się z 200 rocznicą powstania Komisji Edukacji Narodowej. Fakt nawiązania do postępowych tradycji naszej oświaty sugeruje, że nowa koncepcja, poprzedzona gruntownymi badaniami i odwołaniem się do opinii praktyków, będzie istotnym zwrotem w narodowym systemie szkolnym. W nowych założeniach programowych przewiduje się racjonalne zależności pomiędzy różnymi szczeblami kształcenia. Nie od rzeczy będzie w takiej sytuacji zastanowić się, czy w szkolnictwie wyższym nie da się przeprowadzić korekt dalszych i o nieco innym charakterze. Warto na przykład upowszechnić niektóre z już istniejących „nowości”, do niedawna nie miało wykorzystanych. Nieliczne wprowadzone przykłady wskazują, że kryje się w nich spora szansa dla ludzi szczególnie zdolnych.

Istnieją normy czasu przewidujące ilości lat, jakie student ma pozostać w murach uczelni, przy czym liczyba ta kształtuje się nieco inaczej w różnych typach szkół wyższych. Zrozumiałe, że znaczny wysiłek kadry nauczy-

pod adresem szkolnictwa wyższego, obok postulatów modernizacji struktury organizacyjnej — uczelni i ciągłej aktualizacji podawanej tam wiedzy.

Dojrzałe traktowanie obowiązków, rzetelność w pokonywaniu trudności, dociekliwość badawcza — oto czego należy oczekiwać od przyszłych magistrów, którzy w czasie nauki legitymują się dużymi uzdolnieniami, skłonni są szybciej ukończyć studia i opanować większy zakres wiedzy.

Wykorzystanie dużych zdolności młodego człowieka możliwe jest właśnie w systemie programowanych studiów indywidualnych. Szkoła wyższa nie dysponuje jednak tylko najzdolniejszymi. Każdego roku mówi się o zróżnicowanym poziomie słuchaczy i to głównie decyduje, że studia indywidualne nie mogą być uniwersalną receptą na osiągnięcie wysokiego poziomu wiedzy. Ale to nie znaczy, że nie należy tworzyć dodatkowych możliwości tym, którzy dysponują większymi uzdolnieniami i właściwościami charakteru, niezbędnymi do samodzielnego wykonywania zadań programowych uczelni.

W procesie kształcenia indywidualnego zakłada się pełniejsze niż w normalnym toku studiów wykorzystanie rozwijających się zainteresowań studenta, ściślejsze związanie go z samodzielnymi pracownikami naukowymi. Ten bezpośredni i indywidualny związek z całym mechanizmem uczelni usamodzielnia studenta i rozszerza możliwości jego kształcenia.

Skuteczność indywidualnego systemu kształcenia zależy też między innymi od gotowości organizacyjnej uczelni. Poza tym trzeba np. odpowiedniej ilości opiekunów naukowych, którzy prowadziliby studenta, kierowali jego pracą, pomagali we właściwym zaprogramowaniu toku studiów. Uczelnia powin-

## SAMODZIELNOŚĆ SZANSA MŁODYCH

jącej zmierza do tego, aby student czasu tego nie przekraczał i końcowe egzaminy zdawał w przepisany termin.

Czy jednak każdego studium, na każdym kierunku musi obowiązywać taka sama norma czasu? Czy bez szkody dla rzetelnej wiedzy i końcowego przygotowania studium nie można skorygować tych norm, albo spróbować nieco innej formy studiów?

Istnieje taka forma, w niektórych krajach już nawet stosowana, a i na naszych uczelniach próbuje się ją wprowadzić, chociaż nie w takim zakresie, na jaki zasługuje. Uniwersytet Łódzki ma już pierwsze tego typu doświadczenia za sobą, STUDIA INDYWIDUALNE — oto urzędowa nazwa tej formy uniwersyteckiej edukacji.

Znany ekonomista, Michał Dalecki, który zwykłym trybem odbył studia politechniczne, właśnie poprzez studia samodzielnego wkroczył do polskiej i europejskiej wiedzy ekonomicznej. Przytaczamy ten przykład, aby pokazać, że w dziedzinach nauki nie to nowo.

Idea studiów indywidualnych nie sprowadza się bynajmniej do skrócenia czasu studiów. Nie chodzi też — jakby się mogło zdawać — o zmniejszenie kosztów wykształcenia. Sens tej formy studiów polega na maksymalnym wykorzystaniu czasu, zdolności studentów, dojrzałości, charakteru, samodzielności i pełnej świadomości obowiązków, wynikających z programu przyjętego przez studenta i przez niego w dużej mierze planowanego. Celem głównym tej formy kształcenia ma być przede wszystkim intensyfikacja studiów. A jest to jeden z postulatów, sformułowany na VI Zjeździe PZPR

na też decydować o momencie rozpoczęcia studiów indywidualnych, jak też o doborze kandydatów, ocenianych ich uzdolnienia.

System studiów indywidualnych stawia kandydatom wysokie wymagania. Z dotychczasowych doświadczeń, choć niezbyt jeszcze bogatych, wynika, że i moment rozpoczęcia przez studenta studiów indywidualnych rzutuje na późniejszy ich przebieg. Punktem wyjścia może być stwierdzenie przez obucjących ze studentami pracowników uczelni — wyraźna samodzielność i dociekliwość kandydata oraz dyscyplina wewnętrzna. Nie jest to oczywiście łatwe do ustalenia, ale konieczne dla uniknięcia przypadkowości i późniejszych niepowodzeń.

Obok pożytku są i niebezpieczeństwa. Student nawet przy czynnej postawie wyłącza się w jakimś stopniu z bieżącego życia akademickiego, oddziela się od zespołów koleżeńskich, zawęża pole swych zainteresowań. A przecież w toku studiów trzeba u przyszłego absolwenta wyrabiać zdolność do udziału w życiu społecznym i politycznym, zainteresowania kulturalne. I dlatego w systemie studiów indywidualnych trzeba przewidzieć i takie osiągnięcia.

Studia indywidualne — to dla młodych, zdolnych i rzetelnych ludzi duża szansa. Twórcy i śmiały rozmach przedłuży o kilka lat wydajność ich pracy. To się liczy. Ale, wbrew pozorom, problem ten nie zamyka się w murach wyższej uczelni. Kandydat na studenta powinien już w szkole średniej wdrażać się do samodzielnego kształcenia.

MICHAŁ DALECKI  
RYSZARD PIASECKI



Sa twarze narzucające się uwadze, wystarczy raz zobaczyć przypadkiem — w tłumie, na przystanku tramwajowym. Wyobraźnia dorobi cechy charakteru, postawę, usposobienie i wszystko dodatnie i nam przyjazne. Spięte razem pozostaje w pamięci, tyle że już nigdy więcej jej nie zobaczymy. I bywa, że ktoś się nawija codziennie — w bramie uczelni, w stołówce akademickiej, w sali lektorium, gdzie odrywając wzrok od książki zaczynamy przyglądać się rysom. Tajemniczo stonowane tłumionym przez abażur światłem, są przyjemne dla oka. W końcu to już jakby znajomość. I gdy niedyskretnie odczytało się imię w rewersie: Janina, pada nieostrożna uwaga o imiennikach.

Oczywiście trzeba zacząć inaczej. Na przykład tak: Godziny popołudniowe. Pora największego nasilenia. Przy szatni koleżka. Na sali ogólnej duszno i otwierają drzwi balkonowe, wtedy robi się przeciąg. Podszedł się sprowadzane książki, założone rewersami. Sprawdziłem — moich jeszcze nie ma. Obok znajoma już postać tej, powtarzającej się w polu widzenia dziewczyny. Coś sympatycznego w sposobie jak się zachowuje, ubiera, czesze. To jest, dla mnie, oczywiście, sympatycznego. Nie wyzywająca, jakby unika cudzej uwagi. Oslania się barierą skromności. A ja — sam nie wiem właściwie dlaczego narzuciła mi się swym wyglądem — tę barierę nieopatrznie złamałem. Ostatecznie wszystko przypadek: znaleźliśmy się obok siebie i to jej imię na rewersie. W jej odruchowym spojrzeniu na moja uwagę nie było niechęć. Na sali obowiązuje cisza, śledząc tylko oczami sprawdzilem, gdzie siedzi i gdy złożyła swoje roczniki pism, również wstałem. Tak wyszliśmy razem i już pierwsza nasza rozmowa, a właściwie moje monologowanie.

remanenty historii. Może zanudzą panią? Nie? Więc dociekajmy dalej. Nie jestem historykiem ani polonistą, ale bardzo mnie nęcił tamten martwy okres, głównie dzięki osobie dziadka. Gdzieś w okolicach wojny, którą nazwano pierwszą światową, a potem okres figurujący pod nazwą międzywojnia i wreszcie światowa druga. Sama orientacja na wojny sugeruje coś niestalego, chwiejnego, przemijającego się między jednym a drugim potopem. A najwięcej wiedzy o tamtej epoce zaczerpnałem nie z historii, nie z literatury, lecz z życiorysów różnych ludzi. Zestawienie takich biogramów układa się w ogólny obraz, jak mozaika złożona z różnokolorowych kamyczków. Niech pani również spróbuje — pasjonująca lektura.

Pogłębiająca się bieda, a z nią obojętność, uległość albo przeciwnie — przejawy protestu najczęściej kończące się więzieniem, a w chudych latach pierwszej niemieckiej okupacji ucieczką do polskich legionów. W tym właśnie czasie mój dziadek zakosztował ostatecznej samotności. Miał jeszcze córkę, która została przy nim, ale młodo umarła. Podobno samobójstwo w jakichś romantycznych okolicznościach. Tak opowiedzieć — klasyczny banał, tyle że nie dla dziadka, który to bardzo przeżył, a wkrótce opuściła go żona. Czy nie dostateczne powody, aby się stoczył do reszty? Ale dziadek raczej zdziwiał według opinii otoczenia mego ojca, choć parę lat później działalność to okazało się bardzo poczytywane i zyskowne, bo dziadek, jak się okazało, miał powiązania polityczne, w okresie międzywojnia poplatnie nie tyle dla niego, co dla innych, którzy potrafili te jego dawne błędy, a teraz zasługi wykorzystać. Sam on umiał tylko cierpieć: odsiadywał w aresztach carskich, a gdy się zgłosił w czasie pierwszej do legionów, znalazł się w jakimś obozie austriackim czy włoskim i wrócił już do Polski Niepodległej. Żył w dalszym ciągu samotnie i skromnie, ale rodzina teraz do niego się oficjalnie przyznała, nawiazła

moja matka. Była tam sama — ojciec poszedł ze mną odwiedzić dziadka w szpitalu. Gdy wróciliśmy drzwi mieszkania były opieczetowane.

Ojciec potem całe życie gryził się, że nie przewidział, nie zapobiegł i że nie poszedł tam za moją matką, aby podzielić jej los. Miał proste usprawiedliwienie: każdej chwili na każdym calu tamtej rzeczywistości mogło stać się wszystko najmniej przewidziane i nie sposób było zapobiec nieprzewidzanemu. I drugie jeszcze bardziej nieodparte usprawiedliwienie — że dziecko. Moje życie jakby przesłoniło śmierć matki i ojciec w najgłębszych zakamarkach swego sumienia, sąsiadujących z podświadomością, nie mógł mi wybaczyć, że byłem najoczywistszym jego usprawiedliwieniem. Nigdy tego wprost nie powiedział, lecz chłodek szklanej przegrody zawsze między nami był.

Czy muszę do tej opowieści dorzucać sentencje? Ludzie żyją jednocześnie w dwóch rzeczywistościach. Jedną ich otacza i zmusza do reakcji, często odruchowej, bez zastanowienia. Druga schowana głęboko w pamięci sumienia, została zamrożona w jakimś kluczowym momencie ich życia, lecz siła jej nigdy nie słabnie. Każdy, kto przeżył tę wojnę, jest uderzony brutalnie uświadomieniem sobie kruchości odwiecznych zasad moralnych czy prawnych. Ludzie z tym weszli do nowego życia i pozornie nim żyją. Ale wydaje mi się, że łatwiej odbudować zburzone miasta, niż pustkę powstałą w świadomościach. To nawet wtórnie odbiło się na nas, zostało odziedziczone, dotyczyło zbyt nam bliskich, jest wspomnieniem naszego dzieciństwa.

Mijałoby po raz któryś samotnego wieszca, mijaliśmy jako drogowca rysujący się na mglistości nieba, idąc w jednym kierunku i z powrotem, i już bez żadnego



Szliśmy już ciemną ulicą. Zapalono zielone latarnie w górze i na asfalcie w wydłużonych, wilgotnych odbiciach. Nic nie rozjaśniały, jak odbłaski na powierzchni czarno-białego zdjęcia. Brak w tej części sklepów, potem skwer z samotnym pętlą. Ach, pani polonistka, czyta pani wiersze, ja rozkoszuję się poezją na poziomie wyższym — logiką lezb. Obawiam się, że nie znajdziemy wspólnego języka. Matematyka to opanowanie natury, przyszłość planety, wyzwolenie ludzkości, a literatura? Co? Sumienie? Pani tak naprawdę myśli? Nie znam się na moralistyce, dla mnie to skrzyżowanie metafizyka z socjologiem. Chciałbym pani coś opowiedzieć, nie wiem tylko, czy starczy nam drogi.

I opowiedziałem — dziwny instynkt przypodobania się! Nie byłem osamotniony wśród kolegów, nawet lubiany i zapraszany do towarzystwa. A więc nie brakło mi powierników. Ani to dziewczę niczym mnie nie zachęcało do załotów — z bliska bazbarwna, milkliwa, bierna. Szła obok patrząc przed siebie, słuchała, jak dzieci, nie wiedząc w swej naiwności, że mówiący żąda przejawów uwagi, reakcji, chociażby mimowolnego spojrzenia, wtrącenia zachęcającego pytania. I to do niej właśnie, przed nią, nie o niej nie wiedząc prócz tego, że Janka, przy pierwszym poznaniu się, właściwie dopiero poznawaniu się wygłosiłem ten mój monolog — opowiedziałem czego nikomu nigdy jeszcze nie opowiadałem.

Gdybyśmy poszli w przeciwnym kierunku, pokazalbyśmy pani: oto kościół, do którego na mszę niedzielną chadzała moja prababka, świadek wypadków, znanych mi już tylko z podręcznika. Była drugą żoną mego pradziadka, który po amnestii wrócił do kraju z miejsce osiedleńców polskiej popowstańczej diaspory. Tam zostawił pierwszą rodzinę i po przeprowadzeniu rozwodu (sprawa na ogół była łatwa, bo ślub brał w kościele nie katolickim) ożenił się po raz drugi, już z Polką. Miał z nią pożyte szczęśliwe, małżeństwo było wielodzietne, dostatnie, wzorowe, ale chodzi mi nie tyle o niego, co o jego syna z małżeństwa pierwszego, o mego dziadka, który po latach niespodziewanie zjawiał się w Warszawie. Mogę sobie wyobrazić, że nie spotkało go czule przyjęcie. Zimny pocałunek ojca, objawy niechęci macochy, zazdrośna nieufność rodzeństwa. A przecież zerwał ze środowiskiem, w którym wyrósł, zostawił matkę, zmienił religię, burząc i zaczynając od nowa życie, a wszystko jedynie przez sentyment dla narodu swego ojca. Właściwie sentyment nie odpowiednio tu słowo, bo raczej przez idealną miłość, która została nieodwzajemniona. Miał wtedy dwadzieścia lat, słaby wzrok zwalnający go od służby w wojsku i nie ukończoną rosyjską szkołę realną. Wszystkiego musiał uczyć się od nowa, przeżył wiele trudności, a ponieważ wkrótce się ożenił, do końca życia paralił się dorywczą pracą, zmienił niepopłatnie zajęcia. Skąd to wiem? Z rodzinnych przekazów, bo dom, w którym wychowywał się mój ojciec, nie był wcale domem dziadka, lecz właśnie pradziadka. Dlaczego, zaraz wyjaśnię, choć są to same powszedniości tamtych czasów.

Dziadek wkrótce usamodzielniał się, wynajął pokój w biednej rodzinie, a tam była córka, no i reszty nie trzeba dopowiadać. Więz z rodzicem została właściwie zerwana — pradziadek z początku wypłacał jakąś sumę miesięcznie, a kiedy dziadkowi urodził się syn, wziął wnuka na wychowanie do swego domu. Był to mój ojciec i tu dochodzimy do sedna sprawy.

Dziecko rosło w całkowitej izolacji od swoich rodziców, wychowywane było w pogardzie dla biedy i w przekonaniu, że ojciec jego jest upośledzonym maniakiem. A to nie było zupełnie tak. Coś niecoś się dowiedziałem o moim dziadku ze źródeł bezpośrednich, poza tym są to

luźny kontakt (przy jego zrozumiałej nieufności) i tu nastąpiła pierwsza jego styczność z synem. Te rodzicielsko-synowskie stosunki pogłębiły się w katastroficznych latach okupacyjnych.

Wówczas każdy coś takiego robił, aby się utrzymać czy przetrzymać. Najczęściej chwytało się prac fizycznych, dzikich: szklarstwa (po bombardowaniach prawie wszystkie lata wojenne się szkiliło), stolarki, kto umiał handlować, powstało nowe zajęcie rikszy (to, czego teraz już nikt nie umie sobie wyobrazić). Mój dziadek znalazł się w posiadaniu stosu starych książek, porzuconych po czyjeś ucieczce za granicę. A książki wtedy szły, ponieważ pięć lat nikt nic nie wydawał i nie było żadnych publikacji, prócz konspiracyjnych gazetek powielanych najczęściej na hektografach. Książki sprzedawano wprost na ulicach, po bramach w koszykach, roznoszono po domach. W pokoju dziadka zalegały każdy metr kwadratowy poziomej powierzchni — podłoga, krzesła, parapety okien, nawet łóżko, na którym spał, w zimie okrywając się czym się dało, bo żelazny piecyk dymił. Tam dziadek zwierzał się ze swoich życiowych utrapień synowi.

Wiesz, synu (tak mówił do siebie: synu — ojciec), nasze czasy wyjątkują postawy i człowiek jest widoczny z daleka. Wczoraj sprzedałem całego Prousta, byłem głodny, chciałem kupić coś gorącego, sprzedawali na ulicy paszteciki, stanąłem w kolejce, a jakaś baba: temu nie sprzedaj, to mason. Odszedłem, miałem lzy w oczach, dlaczego mason? Głupia nie wiedziała co mówi, po prostu — obey. Całe życie byłem obey i nijaki. Może, bierny, ojciec. Nie, nijaki, nie umiałem walczyć. Nie mogłem, byłęś obiektywnie za słaby, żeby walczyć. Nie, mogłem, bo każdy może, nawet najslabszy, jeśli wierzy w swoją prawdę, a ja byłem nijaki. Miałem sposobność, okazje i zaprzepaściłem, a najgorzej, że gdy zaprzepaszczalem, wiedziałem, że właśnie jest okazja, a ja zaprzepaszczam. Za chwilę będzie za późno, wystarczy zrobić jeden ruch, znaleźć potrzebne słowo, a nie nie robiłem i nie miałem potrzebnego słowa. Tak straciłem ciebie, Murę, żonę, wszystko. Jak we śnie, kiedy śpiący nie może się poruszyć, aby ratować, wszystko wie i rozumie, i nie może. Właśnie spałem tak całe życie, w tej mecie świadomości, że muszę się obudzić, a teraz obudzono mnie, kiedy dokoła — próżnia. Mason! Czy ty jakoś to rozumiesz? Głupia baba, a coś takiego we mnie zobaczyła i z taką nienawiścią, jakby jej nie starczyło pasztecika! Nawet nie wiadomo, z czego oni to pitraszą.

Pokoik był mały, pełen kurzu i śmieci. Pod oknami piętrzyły się roczniki starych, zapomnianych pism. Na nich nierówne kolumny książek. Do połowy szymb, a wyżej zielonkawę szarości zaroiłone pajęczyną i brudem. Mroczno, mimo że na siódmym piętrze, pod niebem. Szło się do góry bez windy. Potem ciemny korytarz z drzwiami mieszkań po obu stronach. Kiedy dziadek znalazł się w szpitalu, ojciec musiał zaopiekować się jego mieszkaniem, a moja matka (bo ojciec już zdążył się ożenić i miał potomstwo w mojej, wtedy jeszcze całkiem małej, osobie) usiłowała doprowadzić pokój do porządku. Traktowali to zbyt lekkomyślnie, już wkrótce się okazało, ale w tamtych czasach nigdy nie było wiadomo, gdzie tkwi niebezpieczeństwo. Tkwiło w dawnych kontaktach dziadka, bo nowych niebezpiecznych chyba nie miał, i w jego książkach, które go ratowały, a mogły doprowadzić do zagłady. I jeśli doprowadziły zamiast niego kogo innego, był to zwykły przypadek. O książkach wiedziała, oczywiście, cała kamienica, a książki kryły w sobie jad intelektu, mogły zawierać zakazaną treść, wywołujące marzenia. Taki nie rejestrowany, prywatny skład materiałów wybuchowych. Ktoś musiał naprowadzić. Do podwórza zajęła budą, a w pokoju dziadka właśnie krzątała się

kierunku. Dotąd moja słuchaczka nie okazywała zniecierpliwienia, w tym jednak miejscu nagła reakcja: uważa pan, że to źle, to przejęcie się, poruszenie i pamięć?

W każdym razie destrukcyjne, tamujące, a przecież uporać się z tym nie sposób. Zapomnieć, wyciąć z mózgu, może byłby na to operacyjny sposób.

To straszne, co pan mówi, coś z praktyk obozów zagłady. A ja? Co bym zrobiła? Nie. Poczucie pustki, poczucie braku równowagi nie jest siłą destrukcyjną, jest siłą kontrolną i regulującą. Rozwiązanie w samym trwaniu, w udreć takiego trwania, nie nie rozwiązującej udreć, ale drążącej myśl, stale myśl pobudzającej, w nieustającym przypominaniu, ostrzeżeniu przypomnieniem. W dziejach niejedna taka katastrofa tkwi podobną, dającą w sobie znać drzazgą.

A, tak. — Przyglądał się jej zaskoczony, już milczący. Potem jakiś czas nie spotykał się. Może nawet unikał siebie. Przy nowym jednak zetknięciu się już jakby dawno się znali, jakby byli czymś najistotniejszym złączeni.

(Fragment większej całości)

ZBIGNIEW ADAMSKI

## ZAPYTAĆ DRZEWA

Na świerkach nieba  
w chwili zasypiania  
gdy leśne drogi  
prostują  
ściegna zmęczonych kolecin  
rozkosznie jest  
kolysać się  
pierzastym  
gwiazdom

Ale zapytaj wtedy  
gdzie drwale posnęli  
i  
w której szopie złożyli łopory

Zapytaj jeszcze  
biegnącą jaszczurkę  
jak dąb  
o ziemię  
waili  
konarami

Drzewa wciąż pytaj  
a sen już nie przyjdzie.

Wiersz z tomiku „Zapytać drzewa“, który ukaże się wkrótce nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.



# § RYKOSZETY ZBRODNI

— Życę każdej żonie takiego męża, jakiego miałam ja — oświadczyła Halina Pacha, wdowa po zamordowanym taksówkarzu. — Było nam z sobą bardzo dobrze, żyliśmy szczęśliwie i w spokoju, mąż kochał dzieci, troszczył się o dom. Teraz moje życie stało się puste, beznadziejne, a przecież nikomu nic złego oboje nie uczyniliśmy. Nie wierzę już, że bym mogła kiedyś wyprostować swój los tak beznadziejnie i okrutnie złamany przez dwóch nikczemnych bandytów.

Prawie identycznie powiedziała Janina Barczyńska, druga wdowa uczestnicząca w tym procesie. I jej małżeństwo było wyjątkowo udane, a mąż człowiekiem przyzwoitym, świetnym fachowcem, doskonałym ojcem, dobrym sąsiadem.

Na obie szczęśliwe rodziny nieszczęście spadło w sposób nieoczekiwany 14 września 1972 roku. Rezultat: dwie wdowy i pięcioro osieroconych małych dzieci. Sprawy tragedii zasiedli na ławie oskarżonych otepiali, zniechęceni, otoczeni wzdrganiem i powszechnym potępieniem. Oprócz zabójstw akt oskarżenia zarzucał im jeszcze szereg innych przestępstw, które były marnymi epizodami w porównaniu z przestępstwem zbrodni. Po prostu etapy na drodze kryminalnej edukacji, która zaprowadziła ich na największą salę rozpraw w gmachu Sądu przy ul. Dąbrowskiego. Dokąd stąd trafia?

Zabili ludzi niewinnych, wartościowych, pełnych chęci do życia. Czyn ich przetrząsnął społeczeństwo, rozprawił pilnie przysłuchiwało się codziennie bezpośrednio ponad pół tysiąca osób, zainteresowanie procesem było ogromne. Dlatego też duże zdziwienie wywołało żądanie jednego z obrońców, który w pierwszym dniu rozprawy złożył wniosek o niedopuszczenie na salę sądową ekipy telewizyjnej. Jawność działania wymiaru sprawiedliwości to tradycja, która ma za sobą parę tysięcy lat. Można zrozumieć trudną rolę obrony w tym procesie, lecz składanie wniosków tego typu nie przynosi zasyzczenia obróby.

Proces Janusza Dębińskiego i Konstantego Federa był ważnym dla opinii publicznej wydarzeniem i trudno odciąć społeczeństwo od pełnej informacji o tym, co się działo na sali sądowej. Źródłem społecznego zainteresowania nie była w tym wypadku sensacyjność procesu, ponieważ nie obfitował on w jakieś niespodzianki, zresztą nie był to proces poszlakowy. Zainteresowanie, które towarzyszyło tej rozprawie, wpływało z ogromu zbrodni, jakiej dokonali młodzi, młodociani przestępcy. Takie czyny sieją niepokój w społeczeństwie, obawę, zmniejszają poczucie bezpieczeństwa obywateli. Oba morderstwa zostały dokonane w ciągu jednego dnia w odstępnie kilkugodzinnym. Zanim ustalono sprawców zabicia taksówkarza Pachy, opinia publiczna zaalarmowana została tego samego dnia późnym wieczorem wieścią o zabójstwie stolarza Barczyńskiego. Powtórzenie zbrodni spowodowało uruchomienie całego aparatu ścigania, wzmocnienie straży granicznych, odwołanie się za pośrednictwem właśnie owej telewizji, której teraz mecenas Szczerbic chętnie by nie wpuścił na salę rozpraw, do pomocy społeczeństwa w szybkim ujęciu sprawców.

14 września ub. roku powiało grozą. Dzień ten upłynął w atmosferze zbrodni. Jak powiedział ze szczerym patosem prokurator Henryk Szezęny — widmo śmierci krążyło w tych dniach nad wszystkimi łódkami taksówkarzami, posiadającymi samochody marki „Fiat”.

Dębiński i Feder dwukrotnie bowiem czynili próby porwania samochodu, wreszcie za trzecim razem plan swój zrealizowali. Nie udał się jednak w pełni, więc zabili taksówkarza, strzelając do niego w tył głowy. Strzał w tył głowy budzi w naszym kraju wyjątkowo smutne reminiscencje. Uruchomili samochód i ze zwłokami człowieka wewnątrz, próbowali jechać dalej. Ten makabryczny rajd z pokrwawionym trupem w samochodzie trwał krótko, rozbili się na pierwszym napotkanym drzewie. Szybko pobiegli stamtąd do domu, dobroili się i postanowili jechać w kierunku granicy, zamierzając uciec do NRF. Przedtem myśleli o porwaniu samolotu, lecz byli zbyt prymitywni, żeby się na to zdobyć. W drodze do Jeleniej Góry wysiedli z pociągu i udali się do pierwszego lepszego domu, zabili gospodarza, ażeby zdobyć gotówkę, żywność i leki na dalszą podróż. Tym razem strzelał Dębiński. Poczynali sobie bezwzględnie i ohydnie. Feder ścigał zabitemu zegarek z ręki, Dębiński jego żonę obrączkę z palca. Na pożegnanie wzięli i kneblują 6-letnią córkę zamordowanego, ostrzegając przedtem: „Jeśli dziecko będzie płakało, zastrzelimy”.

Dziś trudno orzec, jak głębokie ślady zostawiła na psychice dziecka ta bandycka napaść. W ciągu dziewięciu godzin od dokonania jednej zbrodni, dopuścili się drugiej ciężkiej zbrodni. W kryminologii to rzadki wypadek.

Dzięki środkom masowego przekazu wyizolowano zidentyfikowanych przestępców ze społeczeństwa i w stosunkowo krótkim czasie ich ujęto. Wszyscy sprawcy teraz muszą się leżeć z coraz lepszą pracującym aparatem ścigania, który wreszcie przestał być bezradny wobec morderców, jak to się działo jeszcze przed paroma laty. W ostatnim okresie nie notujemy nie wykrytych zabójstw.

Jaka droga doprowadziła ich do zbrodni?

Dokonanie obu zbrodni było konsekwencją ich postępowania i postawy. Obaj czuli wyraźny wstręt do normalnego życia. Mogli pracować, woleli kraść. Mogli się uczyć, woleli zabijać. Snuli urojone projekty wyjazdu za granicę. Nie w tym dziwnego, każdy młody człowiek marzy o podróżach. Ale nie kosztem cudzego życia. Dębiński, cyniczny i okrutny sadysta, wprawia się od małego dziecka w torturach i zabijaniu. Najpierw oczywiście zwierząt. Kolekcjonuje i konstruuje broń, marzy o zabijaniu, chce zostać bohaterem negatywnym, imponuje mu życie przestępcy, mordercy, rysuje godła hitlerowskie, wkłada swoją fotkę do „Mein Kampf”, książki wgardzonej przez cały cywilizowany świat. Feder reprezentuje podobną psychopatyczną mentalność. Agresywny, przywódca, posłuszeństwo usiłuje wymuszać siłą i terrorem. Obaj

nie odczuwali wstrętu do własnych czynów. W ciągu osiemnastu lat życia każdy z nich zdolał dopracować się pokaźnego dorobku przestępczego. Nie obca im była kradzież, napad, szantaż, wymuszenie, w końcu mord, terror i rabunek.

Jak to się mogło stać? Owszem, trudnymi warunkami materialnymi i zaniedbaniem wychowawczym można wytłumaczyć wiele. Ale stopień ich demoralizacji okazał się niewspółmierny nawet w stosunku do przestępczego środowiska, w jakim przebywali. Posłuchajmy ich rodziców i bliskich, może tu znajdziemy klucz do zrozumienia i ukształtowania się ich zbrodniczego światopoglądu. Ich rodzice bez większego oporu zgłosili chęć składania zeznań przed sądem.

STANISŁAW FEDER, ojciec:  
— Co świadek pomyślał, gdy dowiedział się, że jego syn został mordercą?

— Nie wierzyłem, że to mój syn.  
— Czy świadek lubi zaglądać do kieliszka?

— Nieraz tak, jak się zdenerwuję, lub mam przykrości, albo, gdy spotkam kolegę, to wtedy idzie się na kieliszek.

— Co świadek zrobił, ażeby wypłynąć jakoś wychowawczo na swoje dzieci?

— Rady nie mogłem sobie z nimi dać.

WIEŚLAWA FEDER, siostra:  
— Ile razy brat uciekał z Domu Dziecka?

— Trzy razy.

— Dlaczego?

— Bo mu tam było źle.

— Jaką miał opinię?

— Nienajlepszą.

— Z kim się najbardziej kolegował?

— Oczywiście z Dębińskim.

ANIELA DĘBIŃSKA, matka:  
— Co pani sądzi o swoim synu?

— To było moje najlepsze dziecko.

Stawał w mojej obronie, kiedy mnie bil.

— Dlaczego syn nie chodził do szkoły?

— Musiał iść do pracy i pomagać w utrzymaniu.

— Dlaczego świadek wycofała dokumenty syna ze szkoły?

— Z uwagi na brak środków do życia.

(W tym samym czasie, kiedy matka wycofała dokumenty ze szkoły, ponieważ nie miała rzekomo 350 złotych na opłatę, syn zabrał z jej portfela 1.000 złotych, ażeby zakupić nowy pistolet maszynowy).

— Czy świadek nie wiedziała, że szkoły udzielają pomocy uczniom?

— Nie.

— Czy świadek spełniła swój obowiązek matki?

— ?

DĘBIŃSKI, senior:  
— Czy pan rozmawiał z kolegami syna?

— Owszem, z jednym z nich rozmawiałem i teraz mam sprawę o pobicie w sądzie.

DĘBIŃSKI, junior:  
— Co powiedział brat, jak wrócił z lasu po zabiciu taksówkarza Pachy?

— Coś nam w lesie nie wyszło i musimy uciekać.

Kierunek ucieczki — to NRF. Mieli tam kolegę, który wraz z rodzicami opuścił przed paroma laty Konstancję. Do niego właśnie pragnęli się dostać.

W trakcie procesu Konstancja Feder przyznał się do wszystkich zarzucanych

mu czynów, natomiast Janusz Dębiński usiłował kluczyć. Odwoływał zeznania złożone w śledztwie, twierdząc przed sądem, że obu morderstw dokonał Feder. Sąd nie dał temu wiary. Na rozprawie miało to przebieg następujący:

SĄD: — Czy oskarżony Dębiński przyznaje się do wszystkich zarzutów, zawartych w akcie oskarżenia?

DĘBIŃSKI: — Tak, z wyjątkiem zabójstwa Jana Barczyńskiego. Jego zabił Feder. Mój projekt ograniczał się tylko do rabunku.

SĄD: — W śledztwie i w czasie wizji lokalnej oskarżony przyznał się do zabójstwa Barczyńskiego. Dlaczego dziś na sali sądowej podaje inną wersję?

DĘBIŃSKI: — Dzisiaj mówię prawdę. Nie chcę odpowiadać za zabójstwo, którego nie popełniłem. W domu Barczyńskich chciałem tylko zdobyć pieniądze na dalszą drogę.

SĄD: — Barczyński leżał na ganku w kałuży krwi. Czy oskarżony udzielił mu pomocy?

DĘBIŃSKI: — Nie, ale powiadam jeszcze raz, że chciałem tylko sterroryzować gospodarza. Barczyńskiego zabił Feder.

FEDER: — Dębiński kłamie. To on strzelał w Fabianowie z pepeszy. Ja stałem z nim w odległości jednego metra i zgodnie z planem ubezpieczałem go.

Najistotniejsze znaczenie miały tu zeznania wdowy po Janie Barczyńskiej.

— Mąż spał, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi — powiedziała Barczyńska. — Karmila akurat 5-miesięczne bliźnięta. — Obudziłam męża, żeby wyszedł zobaczyć, kto tam się dobija. Jak mąż wyszedł, usłyszałam otwieranie drzwi z klucza, a następnie strzał z pistoletu. Kiedy wskoczyłam do sionki, ujrzałam staniającego się męża i człowieka z pepeszą w rękę, który zaraz do mnie doskoczył. Wepchnął mnie do kuchni i zażądał pieniędzy. Mówił, że jest z organizacji NSZ i „Wolnej Europy“ i że wsi jest ich więcej. Człowiekiem tym był właśnie Dębiński. Feder wołał na niego: „panie poruczniku Smigły”. Z kolei Dębiński Federa nazywał „porucznikiem Jaguarem”.

Z zeznań ich kolegów, których cała galeria przewinęła się przed stołem sędziowskim, wyszło na jaw, że już przedtem obaj młodzi ludzie praktykowali podobne maskarady. Zabawa w SS-manów łatwo przemieniła się w ponurą zbrodnię. Z lekkomyślnych młodzieńców narodzili się bandyci. Wyrosł w środowisku, gdzie najczęściej liczy się siła, przemoc i brutalność. Dojrzewali w atmosferze ekscytacji zlem. Ze zacytuje na zakończenie samego siebie z października ubiegłego roku:

Ekscytacja zlem zdarza się bardzo rzadko, jest bowiem czymś niezgodnym z naturą młodości. To raczej z latami człowiek nikczemnie i parszywieje. Tymczasem w tym wypadku mamy do czynienia z młodymi ludźmi, którzy już dopracowali się zbrodniczego światopoglądu. Dębiński zwierzył się dochodzeniowemu, że owszem, żałuje, ale tego, iż nie trzasnęł taksówkarza i stolarza miesiąc później, gdyż zmarnował mu się bilet miesięczny oraz nie weźmie już udziału w dwu świetnie zapowiadających się weselach. Ale obiecuje, że jak go nie powieszają to napisze powieść kryminalną. Jeśli w tych słowach jest nawet poza, to ujawnia ona absolutną atrofie uczuć wyższego rzędu przerażające spustoszenia w psychice tych osobników. Skąd i w jaki sposób ukształtowali i rozwinęli w sobie takie zbrodnicze skłonności? Oni nie byli tymi chuliganami, jakich spotyka się codziennie na rogatkach Konstancjowa.

Musiło dla nich zabraknąć miejsca w społeczeństwie.

Foto: K. TUROWSKI







FILM

O filmach tej kinematografii mówimy bardzo rzadko, podziwialiśmy w ostatnich latach propozycje czeskosłowackie, węgierskie, jugosłowiańskie — rozkwit tych kinematografii szedł w parze z impasem naszej — ale o filmie bułgarskim było cicho. Czy „KOZI RÓG” Metodiego Andonowa zapowiada zmiany na lepsze w filmie bułgarskim trudno przesądzić, choć ostatni rok, poza tym znakomitym filmem, przyniósł Bułgarii i inne interesujące premiery filmowe. W większo-

chyba społeczeństwa, w perspektywie pięciu wieków niewoli nabiera znaczenia szczególnego.

W „Kozim rogu” Chajtowa i Andonowa dzieje pasterza Karaiwana i jego córki, wybrane z tysięcy innych, przez to, że były właśnie odmienne, bo zbuntowane, potwierdziły tożsamość z losem pozostałych, z historią narodu. Straszliwa turecka niewola zmuszała do milczenia, do cichej, biernej rozpacz. Czuje się ją w tym utworze jako stałą obecność i obrazy jej są równie przejmujące, jak te, które dotyczą tych, którzy doszli do jej kresu. Karaiwan był w środku tej rozpacz, lecz żył tak jak inni. Żył i pracował ciężko, kochał swą żonę i córeczkę, lecz jednej nocy przyszedł tych czterech — panów życia i śmierci jego rodziny i jego współplemieńców. Zgwałcili i zamordowali mu żonę. Wtedy pasterz Karaiwan uciekł z córeczką w góry i w świecie, w którym „nie można być kobietą” uczynił z

uczestniczymy w tych aktach kształtowania owego instynktu, gdy psychiczne okaleczenie Marii wyduje się już faktem, zaczyna ona odkrywać inne prawdy życia niż te, wśród których przez dziewięć lat żyła. Spotyka miłość, która uświadamia, że jest inne życie i są inne uczucia prócz tych, które zaszczylił jej ojciec. Od tego momentu zabicie drugiego człowieka, nawet najstraszliwszego wroga, przestaje być czymś zwyczajnym i tak po prostu sprawiedliwym. Wykonanie ostatniego w życiu Marii wyroku nasycone zostaje pierwszą straszliwą rozterką moralną. Dzieje Marii i jej ojca nosły w sobie tragedię i musiały się nią zakończyć, u ich końca oboje nie udźwignęli tego, co było przeciwne ludzkiej naturze, dobrej przecież i szlachetnej u początków straszliwego dramatu. Nie mogli zabić w sobie tego, co w środku było naprawdę, nie mogli żyć życiem, które znalazło tyle, co zabija innych, choćby byli śmiertelnymi wrogami.

Jest w tej opowieści dramat szerszy, odnoszący się nie tylko do tych obojga i zawierający pytania etyczne, odnoszące się do każdej walki, choćby tej najsprawiedliwszej. Jest to dramat intencji i możliwości człowieka. Zdumiewa w tym filmie głęboki ton refleksji nad sprawami, w których odpowiedzi można by uczynić tak łatwymi, zdumiewa właśnie w tym filmie, w którym autorzy powracają przecież do historii swego narodu tak jeszcze niedawno krwią pisaną. Porusza cała psychologiczna doskonałość rysunku bohaterów. Metody Andonow zrealizował film surowy i okrutny, w którym jednak ani razu okrucieństwo nie staje się płaskim naturalizmem, a egzotyczny folklor — ozdobił obrazem. Precyzyjnie budowany nastrój i rytm opowieści, a więc to, co służy powolnemu zstępowaniu w głąb ludzkiej duszy, przejmujące i niezwykle to tragedii tych dwojga, tworzy piękno i dramatyzm tego filmu. Ma „Kozie róg” Andonowa coś z klimatu „Zródła” Bergmana, lecz wszystko co w nim jest, jest własne, wyrosłe z narodowej świadomości historycznej i tradycji kulturowej, z ojczystego pejzażu gór, które krwią przez wieki nasiąkały — ogólnoludzkie zostają głębokie treści moralne.

EWA NURCZYŃSKA

niej mężczyźni. Wychował na mężczyznę, który umie walczyć o swoje życie, i będzie zdolny pomścić nie tylko śmierć swojej matki, lecz zabijać każdego, kto będzie z pleblem jej morderców.

Ta historia miała miejsce na początku XVII wieku. Opowieść jest okrutna i krwawa, to prawda, ale jej przejmujące okrucieństwo ma swe źródło nie w jego krwawych aktach, lecz w dramatycznych dziejach okrutnego człowieka. Jest to nie tylko historia buntu, ale buntu, który ponosi klęskę zrodzoną w nim samym — przekroczył bowiem psychiczne i naturalne możliwości człowieka. Nim pasterz Karaiwan mógł zacząć zabijać, musiał dojść do kresu rozpacz, lecz doszedł do niego jeszcze raz wtedy, gdy sądził, że jest to już niemożliwe. Uwierzył, że może w sobie i córce zabić wszystkie uczucia i drgnienia serca poza pragnieniem zemsty na wrogu. Wychował więc swe dziecko nie tylko w warunkach pierwotnych, chciał w niej i w sobie zachować wyłącznie pierwotny instynkt życia i walki. I wówczas, gdy z całą grozą

ci przypadków filmy te wyrastały ze źródeł tradycji historycznej i ludowej bezpośredniej, bądź wcześniej strawionej przez współczesną literaturę bułgarską, w której na czołowe miejsce wysuwa się twórczość znakomitego, znanego również u nas Nikołaja Chajtowa. Według jego scenariusza powstał również „Kozie róg”.

W ostatnich eksplojach poszczególnych kinematografii ów związek z szeroko rozumianym folklorem, jako wykładnikiem spraw narodowych, jest dziś niezwykle znamienity, z niego wyrastają nieoczekiwane sukcesy kinematografii krajów Ameryki Łacińskiej, ale także jugosłowiańskiej, ukraińskiej i azjatyckich republik Związku Radzieckiego. Sądzić więc można, że zjawiska zachodzące ostatnio w kinie bułgarskim są również wynikiem tych tendencji.

Dzieje narodu bułgarskiego sprawiły, że całe wieki narodowej kultury znaczą tyle, co kultywowanie tradycji i kultury ludowej. Zachowanie poczucia narodowościowego sprężyło się z zachowaniem ludowego folkloru i choć jest to cecha dziejów każdego

# BUŁGARSKA SAGA ROZPACZY

# „Rywalizacja” TV

Cudzysłów tytułu jest konieczny, kiedy mówi się o rywalizacji pierwszego programu TV z drugim. Obserwujemy przecież swobodny przepływ pozycji z jednego programu do drugiego, często w obu programach występują ci sami ludzie, nierzadko bledzi się człek nad kryteriami kwalifikującymi daną pozycję do (szczególnie!) drugiego programu.

Jeśli więc mówić o rywalizacji w powyższym sensie, to w ubiegłym tygodniu program drugi wygrał ją bez żadnej wątpliwości. Przekonywająco potwierdził również rację swego istnienia, co nie raz kwestionowano. Filmy, najczęściej mocna strona programu jednego i drugiego, w tym wypadku całą sprawę przesądziły na korzyść „drugiego”. W I programie zobaczyliśmy „DARIE”, dwuczęściową opowieść przygodowo-rewolucyjną z lat 1914-18, ukazującą narastanie nastrojów rewolucyjnych w kozackich chutorach. Film niewątpliwie sprawny, ale zrobiony chyba głównie z myślą o młodzieżowym widzu. Po Szolochowie i Bondarczuku, którzy w literaturze i filmie pokazali autentyczny dramat Kozaków, w owych latach, trudno jest inaczej spojrzeć na niniejszą propozycję.

„INSPEKTOR WYDZIAŁU KRYMINALNEGO” też nie mógł zadowolić wybredniejszego widza. Na kanwie opowieści sensacyjnej po prostu nie da się przy okazji przedstawić tak skomplikowane sprawy, jak kwestia zaufania między funkcjonariuszami milicji, reedukacji ludzi z marginesu, ukazanie pobudek aspołecznego działania. Za to w ciągu trzech wieczorów mogliśmy oglądać Jurija Solomina, aktora dobrego i sympatycznego, który zdobył sobie popularność również i w naszym kraju w udanym serialu „ADIUTANT JEGO EKSCELENCJI”. To chyba jednak trochę za mało.

Natomiast w II programie, proszę bardzo: „POŻĄDANIE ZWANE ANADA”, „GODZINY MIŁOŚCI” i film Kutza „KRZYŻ WALECZNYCH”.

Żeby nie zostać tylko przy filmach zwróćmy jeszcze uwagę na propozycje teatralne. W poniedziałek była „CIOTUNIA” Fredry, o której jeśli coś można dobrego powiedzieć, to tylko ze względu na rolę Jadwigi

Andrzejewskiej. Dobrze zaprezentowała się również w roli Aliny Iłona Bartosińska. W przedstawieniu zabrakło tego, co u Fredry broni się przed czasem i jest najcenniejsze: poezji. Pozostała bardzo zgrabnie i sprawnie pokazana historia obyczajowa z życia szlacheckich dworaków.

W piątek — „ROMANETTO” wg Jakuba Arbesa. Spektakl czeskosłowackiej TV ciekawy i oryginalny, tyle, że powtórzenie. Widzowie będący chyba prece-densem, gdyż akcja opowieści rozgrywa się bez jednego słowa. (Spikerka na wszelki wypadek poprosiła, żeby nie regulować odbiorników — bo rzecz nie do słuchania, lecz oglądania). Propozycja była ciekawa również aktorsko. Z niezwykle trudnego zadania doskonale wywiązała się Jana Brejchova. To samo można powiedzieć o Evie Sadkovej, autorce scenariusza i reżyserze przedstawienia. Było to jednak powtórzenie, co tylko jest stwierdzeniem, a nie zarzutem.

Drugą pozycją, która również była dobrą wizytówką czeskosłowackiej TV był film „POŻĄDANIE ZWANE ANADA”. Pod tym okrutnie banalnym tytułem (zresztą częściowo zapożyczonym) międzynarodowa spółka autorów i aktorów (Węgier, Jugosłowianie, Amerykanka, Czesi) przedstawiła nam piękną opowieść o miłości, o ludzkich marzeniach i tęsknotach, na tle zwykłej, monotonnej egzystencji rodzinny rybak. Opowieść rozgrywa się w scenarii lat dwudziestych, nad brzegami Dunaju, ale ma wymiar ponadczasowej uległości i wartości głębszego uogólnienia. Film jest przy tym śmiały, ale nagość, sceny erotyczne, przedstawione

są w nim z wielką kulturą artystyczną — są niejako konsekwentnym uzupełnieniem Natury, sprawą zwykłą i oczywistą.

Również w II programie rozpoczął się 5-odcinkowy serial — ekranizacja najbardziej znanej i kilkakrotnie wznawianej w Polsce powieści Williama Thackeraya pt. „TARGOWISKO PRÓŻNOŚCI”. Znowu trudno zrozumieć dlaczego tak popularne w swoim zamierzeniu widowski prezentuje się w tym programie. Bo obojętnie nie wątpię, że po jakimś czasie zostanie przeniesione do programu pierwszego.

Po obejrzeniu pierwszego odcinka już można się zorientować, że adaptacja jest wierna (oczywiście, na ile to możliwe) oryginałowi. Podobnie jak w „Forsytach”, perypetie bohaterów pokazane są na tle społeczno-obyczajowym Anglii z połowy ubiegłego wieku. Podobieństwo jest i innego rodzaju — główną rolę gra Susan Hampshire, doskonale znana u nas z tamtej sagi.

F. S. Dobiega końca serialu „CHŁOPI”. Niezależnie od artystycznej oceny, z dużym rozmachem potraktowanego przedsięwzięcia, jest to autentyczne wydarzenie. Po zakończeniu serialu chcemy więc omówić go obszerniej i podać bardziej wszechstronnej ocenie, niż to się zwykle czyni w tej rubryce. Z chęcią również zamieścimy listy naszych Czytelników na ten temat.

JAROSŁAW TARNO



A mnie nie dali oglądać, bo program miał być niezwykły...



## KONKURSY I EFEKTY

W związku z wystawą pokonkursową X Konkursu na Grafikę i Rysunek Okręgu Łódzkiego ZPAP, przysłał mi do głowy refleksja, gdy zobaczyłem w składzie jury samych twórców. Udział w konkursie, udostępniony publiczności plan konkursu prezentowałem jako wieloobłaskowe, ale, niestety, przydymione odbicie własnych twórczych upodobań samych jurorów.

Z wystawy dowiadujemy się, że zapanowała powszechnie nowa figuracja i że wszyscy autorzy i jurorzy bardzo ją lubią. A przecież jeszcze dziesięć lat temu była to również zgrabna zasiana informelu z nielicznymi tylko prymitywnymi figuracjami. Rządzą więc sztuką nawyki grupowe i strach przed wychyleniem się z szablonu. Tylko, że nowa figuracja ma to do siebie, że szybciej się od informelu banalizuje, ponieważ szablon, który nią rządził jest — wbrew pozorom — o wiele bardziej ubogi od kalejdoskopowych możliwości abstrakcji.

Nie jestem przeciwnikiem figuracji. Jestem tylko przeciwnikiem ubóstwu ideowemu i formalnemu, które się szeregowo

egzemplifikuje na wielu wystawach. Każdy nadmiar może znużyć. Ale na wystawie pokonkursowej nie widziałem żadnego przesilenia. Nieliczne wyjątki i odstępstwa od nowej figuracji były tak skromne, że nie mogłyby przyciągnąć uwagi widza, gdyby nie ich odrębność i gdyby nie wychylał się z nich autentyczny, własny świat.

Pokrętnie formy na rysunkach Janusza Iwanlika posiadają tak autonomiczny sens, że można dopatrywać się w nich przemysłów trwałych, nie adresowanych jedynie na konkretną wystawę. Tymi cechami zalecają się również skromnie eksponowane prace Adama Grodka i Nikołaja Dawidziuka, w których można zauważyć trafnie wyczułe asocjacje nasyconych dziesiętnastowiecznych tradycji malarskich. Z dwóch rysunków Zbigniewa Michalskiego, eksponowanych na wystawie, można również wnosić, że to wrażliwość wyraża nowe potrzeby wzualne współczesnej plastyki. Formy w rysunkach Michalskiego, będące pochodną autentyzmu przedmiotowego —

ni to liście ni to obłoki — kolarz — w sobie metaforę nadrealizmu z codziennym pospółchem spojżenia rzuconego przez zabieganego człowieka.

Grafikiem z temperamentem jest natomiast Andrzej Kabala. Oszczędne w obrazowaniu grafiki tego artysty, bliższe są pod względem czystości kompozycyjnej sztuce niektórych twórców renesansowych. Figuracja, która tworzy on w swoich litografiach, ma rację głębszego istnienia. Nie odwołuje się bowiem ona do powierzchniowych, krótkotrwałych wrażeń, nie celebruje samej ekspresji dla ekspresji, poży dla poży i nie kokietuje odbiorcy za wszelką cenę. W każdej grafice Kabala znajduje się jakiś element zaskoczenia: pointa, której nie zauważa się od razu, ale która nagle zauważona wywołuje tym silniejsze wrażenie.

Natomiast Henryk Pióciennik, ze swymi nie zmieniającymi się od lat, statycznymi kompozycjami, stał się już kimś w rodzaju klasyka. Ta stabilizacja, której może pozazdrościć mu niejeden, ociera się jednak niekiedy o stylizację, co powoduje, że sztuka Pióciennika jest, owszem, ładna, starannie wycyziowana, dokładna, ale staje się już za dużo dekoracyjna.

Subtelny, głoszący papier ołowek Andrzej Gieraga, wypracował coś w rodzaju malych traktatów o funkcji ry-

## PLASTYKA

sunku — i tej służebnej wobec innych technik i tej własnej, autonomicznej. Sztuka Gieragi jest przykładem dobrze przemyślanych doświadczeń nowej figuracji, która wcale nie musi powielać przeganiających się z miejsca na miejsce sylwetek ludzkich, Gieraga tworzy, buduje, lepi własne formy z całkowicie przewidywalnym o potrzebie takiej kreacji.

Jury w składzie: Tadeusz Jackowski, Jan Aleksandr, Julian Książek, Janusz Przybylski, Marek Sapetto przyznało następujące nagrody i wyróżnienia: Dział Grafiki — I — Andrzej Kabala, II — Henryk Pióciennik, III — Andrzej Adam Sadowski, I Janusz Nowacki, wyróżnienia — Andrzej Nawrot, Henryk Pióciennik, Andrzej Bartezyk, Janina Habbas, Dział Rysunku — I — Andrzej Gieraga, II — Janusz Iwanliuk, III — Andrzej Adam Sadowski i Wiesław Gruszczyński, wyróżnienia — Andrzej Gieraga, Ryszard Popow, Jerzy Derkowski, Jerzy Mróz, Danuta Muszyńska, Jarosław Zdunlewski, Tadeusz Hołwko, Ryszard Kuba Grzybowski.

GUSTAW ROMANOWSKI

ANDRZEJ KABALA — „Mojemu znajomemu, który jest synem zegarmistrza” (litografia - 1972)



# Pokój nr 723...

W stolicy USA nabiera rozgłosu skandal polityczny, który wybuchł w ubiegłym roku, w okresie walki przedwyborczej między dwiema najpotężniejszymi partiami burżuazyjnymi w USA: demokratyczną i republikańską.

Obecnie toczy się w Waszyngtonie proces sądowy przeciwko dwóm byłym współpracownikom Białego Domu, czterem byłym agentom CIA i jednemu technikowi. Oskarża się ich o dokonanie włamania do siedziby Narodowego Komitetu Partii Demokratycznej w Waszyngtonie. Jednym z głównych świadków w toczącym się procesie jest 36-letni Alfred Baldwin, który przyznał się do udziału w tej kompromitującej „operacji”. Jest on specjalistą w zakresie „szkolenia policyjnego”, a swego czasu był kapitanem piechoty morskiej i agentem FBI. Zeznania Baldwina będą miały duże znaczenie dla szerszego wyjaśnienia tła i okoliczności tego głośnego skandalu, którego szczegóły nie schodzą z łamów prasy światowej.

Główny sędzia sądu okręgowego w Waszyngtonie, John Sirica, w pierwszym dniu procesu powiedział: „Przysięgli zechcą z pewnością wiedzieć, dlaczego ci ludzie włamali się do siedziby Narodowego Komitetu Partii Demokratycznej. Czy jedynym ich celem było szpiegostwo polityczne? Placowano im, czy nie? Czy kierował nimi jakiś określony cel? Kto ich wynajął? Kto to wszystko zorganizował?”

## SPECJALIŚCI OD PODSŁUCHU

Wygląda na to, że Baldwin obawia się, iż pewne wpływowe osobistości będą usiłowały zmusić go do milczenia. Dlatego też postanowił opowiedzieć o wszystkim w rozmowie z korespondentem pisma „Los Angeles Times”, J. Nelsonem.

Ta pięciogodzinna rozmowa, zapisana na taśmie magnetycznej, spowodowała kolejny proces sądowy. Tym razem rząd wystąpił przeciwko prasie. Sąd, rozpatrujący sprawę włamania do siedziby partii demokratycznej, zażądał od redakcji pisma wydania taśmy magnetycznej z zeznaniami Baldwina, a także z wypowiedziami obrońcy Baldwina, które sąd określił jako „nie nadające się do prasy”. Szef waszyngtońskiej redakcji „Los Angeles Times”, John Lavrens, odrzucił to żądanie i został osadzony w więzieniu za „lekceważenie postanowień sądu”. Dopiero, gdy Baldwin zwolnił redakcję od zachowania tajemnicy i taśmy magnetyczne przekazano sądowi, konflikt między władzami a gazetą został zażegnany i Lavrens wyszedł na wolność.

Pięciu oskarżonych, spośród siedmiu, aresztowano w ubiegłym roku. Są to: J. MacCord, B. Barker, F. Sterdigs, E. Martinez i V. Gonsalez.

53-letni MacCord otrzymał 500 dolarów miesięcznie za wykonywanie funkcji szefa bezpieczeństwa w Komitecie wyborczym na rzecz reelekcji prezydenta. Chodzą słuchy, że MacCord działał z polecenia dwóch najbardziej wpływowych działaczy tego komitetu: G. Liddy'ego, zwierzchnika MacCorda i H. Hunta, byłego pracownika CIA.

Obecnie cała ta siódemka stoi przed sądem. Oskarżenia przyznali, że ich praca „wprost lub pośrednio”, opłacała się komitetowi. Przedstawiciele partii demokratycznej twierdzą, że jest to zaledwie mała grupka spośród całego mnóstwa innych agentów, których zaangażowano do „zmasowa-

nej kampanii dywersyjnej”, rozkręconej przeciwko demokratom.

Oprócz Liddy'ego i Hunta w aferę jest zamieszanych jeszcze kilku innych pracowników Białego Domu.

Baldwin opowiada: „MacCord powiadomił mnie, że ta nowa praca, po wyborach może mi pomóc do zajęcia dobrej pozycji. Wziął mnie ze sobą, żebyśmy obejrzeli siedzibę organizatorów wyborczej kampanii prezydenckiej. Była niedaleko od Białego Domu. Poszliśmy tam, żeby otrzymać „błogosławieństwo” dla mojej nowej pracy od niejakiego Fredericka Leare, specjalnego pomocnika przewodniczącego kampanii wyborczej. MacCord powiedział: Leare jest prawą ręką Mitchella... Mitchell był wtedy przewodniczącym komitetu wyborczego. Tam widział Baldwin wiele urządzeń podsłuchowych, jak np. aparaty nadawczo-odbiorcze, miniatury przystawki telewizyjne do podpatrywania i inne przyrządy elektroniczne. Dano mu awansem 500 dolarów i umieszczono pod nazwiskiem Billa Johnsona w hotelu, którego fasada znajdowała się dokładnie naprzeciwko siedziby partii demokratycznej.

## STACJA NADAWCZO-ODBIORCZA

Baldwin przyznaje, że jego pokój w hotelu był wypełniony najrozsądniejszą aparaturą podsłuchową. Obejmowała ona, m. in., krótkofalowy odbiornik radiowy specjalnego typu, komplet magnetofonów oraz pewien bardzo skomplikowany aparat w cenie 15 tysięcy dolarów... „Pokażę panu te wszystkie cuda i nauczę pana, jak się z nimi obchodzić” — powiedział MacCord bez owijania w bawełnę. Następnie... wskazując na dom naprzeciwko, dodał: „Dziś wieczorem zamierzamy tam zainstalować to i owo”. Baldwin widział z balkonu, jak MacCord przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do siedziby Narodowego Komitetu Partii Demokratycznej. Nieco później dostrzegł go w jednym z okien siedziby demokratów. Było z nim dwóch ludzi. „Okey, wszystko gotowe” — powiedział MacCord po powrocie do hotelu.

MacCord zainstalował tam dwa „zuczki” w aparatach telefonicznych, z których jeden należał do

O'Briana, przewodniczącego wyborczej kampanii demokratów.

Baldwin opowiada dalej: „W przeciągu trzech tygodni podsłuchałem około dwustu rozmów. Niektóre dotyczyły strategii przedwyborczej, inne — przeróżnych spraw, nieraz bardzo poufnych”.

Baldwin zapisywał wszystkie rozmowy na maszynie, w dwóch egzemplarzach, a MacCord przychodził po te „protokoły” dwa razy dziennie. Niekiedy sprawozdania te miały po sześć stron maszynopisu. Jeżeli coś wzbudzało szczególne zainteresowanie MacCorda, siał do maszyny i pisał specjalną informację. Zaczynała się ona od słów: „Jak dowiaduję się z poufnego źródła...”

Któregoś dnia MacCord przyprowadził do pokoju 723, zajmowanego przez Baldwina, swego bossa Liddy'ego i całkiem nowego człowieka — Howarda Hunta. Hunt, który swego czasu brał udział w nieudanym ładowaniu na Kubie, pracował także w charakterze agenta CIA w Europie, Azji i Ameryce Łacińskiej.

W jakimś czasie potem Baldwin został wysłany do znajdującej się vis à vis siedziby demokratów, żeby dokładnie zlokalizować telefon O'Briana, ponieważ MacCord miał wątpliwości, czy do aparatu włączono podsłuch. Baldwinowi udało się wykonać to zadanie. MacCord był „fantastycznie zadowolony”, otrzymując szkiełko gabinetu O'Briana i zaraz tego wieczoru, 16 czerwca, przyniósł do hotelu nowy aparat podsłuchowy, „podobny do dzwonka u drzwi”, jak również szereg innych urządzeń elektronicznych. Powiedział przy tym, że wobec zainstalowania nowych aparatów podsłuchowych, trzeba koniecznie albo zdjąć stare, albo je zestroić.

Przed tą próbą zmiany aparatury podsłuchowej Baldwin włożył do koperty zapisy podsłuchanych rozmów, a MacCord zaklecił kopertę i napisał na niej adres Komitetu Wyborczego.

## „ZŁPALI NAS”...

W końcu maja ub. roku wylamano drzwi do siedziby Narodowego Komitetu Partii Demokratycznej, a włamywacze sfotografowali wiele dokumentów O'Briana. 10 czerwca do właściciela atelier fotograficznego w Miami zwróciło się dwóch klientów z prośbą o natychmiastowe wywołanie małych obrazków filmu. Na fil-

mie były utrwalone dokumenty ze śladami palców w rękawiczkach. Na niektórych dokumentach widniały pieczęcie Narodowego Komitetu Partii Demokratycznej, na innych — podpisy O'Briana.

Później laborant atelier rozpoznał w dwóch obwinionych w procesie, ludzi, którzy przynieśli film do wywołania. Byli to: 37-letni Frank Stardgiss, były szeregowiec piechoty morskiej i 55-letni Bernard Barker, bogaty handlarz nieruchomościami w Miami, który w okresie operacji w Zatoce Świń był łącznikiem pomiędzy CIA i kubańskimi emigrantami.

Miami, gdzie w ub. roku odbywały się narodowe zjazdy obu partii — demokratycznej i republikańskiej, jest ważnym ośrodkiem dyspozycyjnym CIA, który też werbuje agentów do grup dywersyjnych spośród gnieżdżących się tutaj emigrantów kubańskich.

O świcie 17 czerwca 1972 roku MacCord poprowadził grupę dywersantów do nowej akcji na siedzibę Narodowego Komitetu Partii Demokratycznej. Baldwin zeznaje, iż polecono mu siedzieć przy oknie i uważnie obserwować ulicę. W razie niebezpieczeństwa miał natychmiast zaalarmować MacCorda przez radio.

O 2 w nocy Baldwin zauważył, że w oknach na siódmym piętrze, nad biurem Narodowego Komitetu Partii Demokratycznej, nagle zabłysło światło. Nadął więc sygnał alarmowy, ale MacCord i jego ludzie nie zwrócili na to żadnej uwagi. „Wiemy o tym — powiedział mi przez radio. —

To kontrola, która odbywa się tutaj co dwie godziny...”

Wkrótce potem przed gmachem partii demokratycznej zatrzymał się samochód i do hallu weszło w pośpiechu trzech mężczyzn. W chwilę potem na piętrze pomieszczeń demokratów zapaliły się światła.

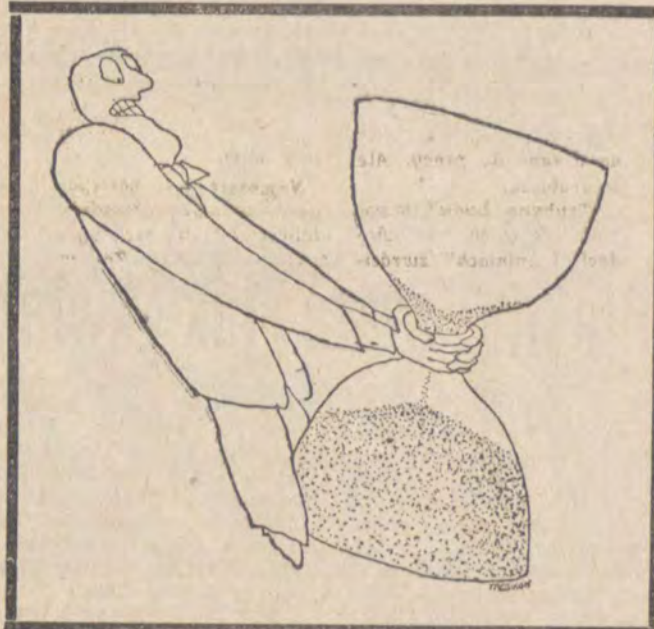
Baldwin opowiada, że chwycił za swój aparat nadawczo-odbiorczy i usłyszał jak ktoś krzyknął na cały głos: „Rozumiecie coś z tego wszystkiego?”

Na ulicy było już pełno samochodów, motocykli i ciężarówek. Baldwin usłyszał w aparacie ostatnie słowa, wypowiedziane szeptem: „Złapali nas...”, potem zapaliła się cisza.

Po pewnym czasie Baldwin zobaczył, jak policja wyprowadziła MacCorda i jego czterech kompanów. Kilka minut później do pokoju Baldwina wpadł wzburzony Hunt i zaczął rozdzwaniać do adwokatów. „Oni cholernie wpadli! — krzyknął i miotał się po pokoju. — Mam przy sobie pięć tysięcy dolarów w gotówce i możemy użyć tych pieniędzy jako kaucji!”

Hunt polecił Baldwinowi zapakować całą aparaturę podsłuchową i przewieźć ją do mieszkania MacCorda. Potem, rzuciwszy na łóżko swój aparat nadawczy, wybiegł z pokoju jak bomba. „Czy to znaczy, że zostałem bez pracy?” — krzyknął w ślad za nim Baldwin. Ale po Huncie pozostał już tylko lekki zapach wody kolońskiej firmy „York”.

Oprac. J. CZECH



# PIĘKNY FITZGERALD I JASNOWŁOSA ZELDA

W latach dwudziestych naszego wieku zyskał sławę i rozgłos. Ale gdy umierał w roku 1940 był już niemal zapomniany. Dopiero od 1960 r. krytyka literacka interesuje się nim coraz bardziej. Dziś amerykański pisarz Francis Scott Key Fitzgerald uchodzi za jednego z najbardziej interesujących przedstawicieli w literaturze tzw. Jazz Age, wieku jazzu. Ogromny dar obserwacji pisarza, elementy romantyczne i symboliczne w jego twórczości, a nade wszystko wyczuć eposy, w której Fitzgerald żył i pisał, umiejętność dostrzeżenia, że „lata szalone” są czasem fałszywych złudzeń, chwilowego tylko okresu prosperity, plonnych nadziei — wszystko to złożyło się na obecne zainteresowanie się twórczością Scotta Fitzgeralda zwłaszcza przez badaczy literatury.

Znany jest jego życiorys, gdyż napisał wiele powieści czerpiąc materiał ze swej własnej biografii. Pozostawił ponadto po sobie m.in. zbiór wspomnień i notatek pt. „Krach”, wydany już po śmierci. Ale jak zasadniczą rolę w życiu i twórczości Fitzgeralda ode-

grała jego żona, Zelda Sayre dowiedzieliśmy się dopiero z wydanej w Nowym Jorku kilka lat temu pracy Nancy Milford pt. „Zelda. A Biography”. Przez sześć lat pani Milford z mrówczą pracowitością zbierała szczegółowy materiał biograficzny o żonie pisarza. Ostatnio we Francji ukazała się ta książka w tłumaczeniu na język francuski. A równocześnie wyszła w języku francuskim powieść samej Zeldy pt. „Ofiaruj mi ten wale”. Książka ta pisana przez nią w szpitalu psychiatrycznym zawiera mnóstwo materiału autobiograficznego.

Historia burzliwej miłości zaczęła się w roku 1918 kiedy przystojny, zielonooki, wówczas porucznik piechoty Francis Scott Fitzgerald poznał na balu w Alabamie jasnowłosą, o niebieskich oczach przelśniąca Zeldę Sayre. On miał lat 22, ona 18. Była dla niego kobietą z jego snów. Powie później o Zeldzie: „Kobieta roku 1920, która flirtuje, całuje się, przeklina bez zarumienienia się, igra z ogniem, jest czymś w rodzaju wampa z mentalnością dziewczyny. Najwięcej lubię ten roz-

dzaj kobiet. Naprawdę, poślubiłem bohaterkę moich opowiadań. Żadna inna kobieta nie mogła mnie zainteresować”.

Po dwóch latach Fitzgerald żenił się z Zeldą. Jest rok 1920. Zelda była bohaterką jego opowiadań, Zelda będzie bohaterką jego powieści. Na jej to postaci pisarz będzie modelował dziewczyny swych książek — filirciarskie, szalone, nieobliczalne, dziecinne i uwodzicielskie zarazem, tkliwe i narwane. W swej pierwszej powieści pt. „Po tej stronie raj”, która przyniesie Fitzgeraldowi sławę i pieniądze, autor cytuje fragmenty z listów Zeldy — najbardziej frywolne i najbardziej czule. Po sukcesie książki, małżeństwo zamieszkuje w Nowym Jorku. Następuje era szaleństw i pijanstwa. Zelda i Fitzgerald wędrują się po mieście, skaczą o północy do sadzawki z fontanną, pijani jadą taksówką, on na dachu, ona siedząc okrzakiem na masce samochodu, nieproszeni zjawiają się na przyjęcie, szekając, na czworakach, spierdaj na nieprzytomności. Gdy rodzi się córka, Zelda nieraz przez

roztrągnięciem karmi małą dziełem zamiast soczkiem. Szalone życie trwa dalej. Teraz już w Paryżu. Pieniądze rozrzucają nieraz dosłownie. W 1924 roku Fitzgerald wyrzuca banknoty przez okno jednej z paryskich restauracji. Małżeństwo wpada wreszcie w trudności finansowe. Fitzgerald ma pięć tysięcy dolarów długu. Gdy w roku 1924 pracuje samotnie na Rivierze, żona flirtuje z francuskim lotnikiem, który zabawia Zeldę śmiałymi powiartkami ewolucjami nad domem, w którym ona mieszka.

Między małżonkami dochodzi do pierwszych starć. Zelda musi spoważnieć. Tego żąda jej mąż. Zelda oskarża męża o impotencję i homoseksualizm. Między małżonkami wybucha gwałtowne kłótnie. Dziś wiemy, że podkład tych nieporozumień był znacznie głębszy. Oto, Zelda uważała się także za pisarkę. Fitzgerald zamierza napisać powieść, w której bohaterka chce zniszczyć męża, gdyż z bardzo go kocha. Wychodzi w tym celu za niego za mąż. Jest zazdrośna o jego literackie sukcesy.

W istocie Zelda była zazdrośna o talent Fitzgeralda. Ona także pisze. Ale udaje jej się wydrukować tylko to co podpisuje jako żona Fitzgeralda. Pewnego dnia oświadcza mężowi, że wykorzystwał jej pamiętniki i listy do swych książek. Jest więc plagiatorem. Odtąd ona sama

będzie pisywała na temat swego życia i swego małżeństwa. Gdy Fitzgerald protestuje, Zelda postanawia zostać słynną malarką. Maluje teraz obrazy, ale gdy je wystawia, doznaje całkowitej porażki. Nie udało się zostać malarką, zostanie w takim razie tancerką. I to słynną baletnicą. Dwudziestoosmioletnia Zelda ńczy teraz przy drążku po osiem godzin dziennie. Naraża się tylko na śmiech, tancerka nie udaje jej się zostać. Ta rywalizacja między Zeldą a jej mężem znajdzie swe literackie odbicie w rywalizacji między Nicole a Dickiem w powieści Fitzgeralda pt. „Czula jest noc”.

Na wiosnę roku 1930 Zelda ma pierwszy ostry atak rozstroju nerwowego. „Polowa moich przyjaciół powie wam — pisał później Fitzgerald — że to mój alkoholizm sprawił, iż Zelda zwariowała. Druga polowa będzie twierdziła, że to właśnie jej szaleństwo popchnęło mnie do picia. Wszyscy byliby zgodni twierdząc, że każde z nas obojga najlepiej czułoby się bez drugiego. Paradoks polega jednak na tym, że nigdy nie byliśmy tak desperacko w sobie zakochani”.

Zelda naprawdę zwariowała. Lekarze orzekają, że cierpi na schizofrenię. Zelda zostaje umieszczona w szpitalu dla umysłowo chorych. Początki swego małżeństwa

przedstawił Fitzgerald w powieści pt. „Piękni i przekleci”, teraz choroba psychiczna Zeldy staje się inspiracją ostatniej przez pisarza ukończonej powieści pt. „Czula jest noc”. W książce autor, z zachwytem cytując listy z kliniki od Zeldy — obłąkane i czule. Niemal w tym samym czasie, w którym Fitzgerald pisze swą książkę, Zelda, obłąkana Zelda, pisze swoją powieść pt. „Ofiaruj mi ten wale” (Save me the Waltz).

Fitzgerald, który akurat pracował nad siódmą wersją swej powieści pt. „Czula jest noc”, gdy otrzymał rękopis Zeldy, wykrzyknął: „Cała jej powieść jest imitacją mojej, ten sam rytm, ten sam temat”.

Istotnie obie powieści wykazują zdumiewające podobieństwo treści, formy, tematu. Fitzgerald i piękna Zelda — oboje, każde osobno, napisało swoją własną wersję ich szalonej miłości, tragicznego rozstania i ostatecznej destrukcji.

Przeżarty alkoholem, zrujnowany finansowo i fizycznie, zapomniany u schyłku życia jako pisarz, Francis Scott Key Fitzgerald umiera w grudniu 1940 roku. Chora umysłowo Zelda nie może przybyć na jego pogrzeb. W marcu 1948 roku Zelda ginie tragicznie, wraz z kilkoma innymi chorymi, podczas pożaru szpitala.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ



## Przygoda z filmem

Nie, proszę państwa, nie będę nikogo zachęcał do tego, aby wybrał się do kina. Jako historyka interesuje mnie coś zgoła innego, mianowicie film jako zapis zdarzeń, jako źródło historyczne. Nawet najzagorzalszy przeciwnik tzw. historii wydarzeniowej musi się zgodzić z tym, że wielkie dziejowe procesy, które znajdują się w centrum zainteresowania ambitnej naukowej historiografii, nie dokonują się poza wydarzeniami, tymi właśnie, które oglądane z bliska tak trudno łączyć z całokształtem historycznego procesu, tak łatwo zacierają się w ludzkiej pamięci skoro wymazały je inne, nowsze, tak trudno dają się zrekonstruować w oparciu o tradycyjne, wyszukiwane w naukowym warsztacie historyka źródła.

Filmowy zapis wydarzeń wojennych — oto sprawa, która coraz bardziej fascynuje dzisiejszego historyka. Mamy wciąż sporą dokumentację filmową, dotyczącą dzieł I i II wojny światowej. W oparciu o nią jeden z historyków francuskich młodszej generacji skreślił dokumentarny film historyczny i... stał się filmowcem. Wielekroć więcej tego rodzaju dokumentacji

posiadamy do bliższej nam — nie tylko pod względem czasowym — II wojny światowej; wówczas kamera bardzo często pojawiała się w okopach, na froncie i w walce partyzanckiej. Nie obywało się przy tym bez różnych, niekiedy wywołujących dziś (nie wtedy jednak!) uśmiech, konfliktów. Władysław Jewsiewicki przytoczył słowa, wypowiedziane podczas inspekcji dnia 8 października 1944 r. przez jednego z polskich generałów na odprawie dla korespondentów i operatorów wojennych:

„Ja niczego nie sugeruję, ale uważam, że byłoby bardzo dobrze, ze względu na morale wojska, żeby jeden z was przynajmniej zginął. Żeby nasz żołnierz zobaczył, że korespondent wojenny, to nie tylko gryziopiórek, ale taki sam uczestnik walki, jak wszyscy inni. Bo żołnierz musi nabrać pełnego zaufania do was i do waszej pracy, musi wiedzieć, że idziecie z nim i że wszystko, co piszecie, to prawda a nie zmyślona bajda. Zastanówcie się nad tym, panowie korespondenci!”

Konfliktów tych było oczywiście wielekroć więcej. „Ludzie mogą nie wierzyć moim słowom, ale muszą u-

wierzyć moim zdjęciom” powiedział amerykański filmowiec i dziennikarz Julien Bryan, który tuż po wybuchu działań wojennych, dnia 7 września 1939 roku zjawił się w Warszawie i za zgodą prezydenta Stefana Starzyńskiego utrwał na taśmie filmowej przebieg bohaterskiej obrony Warszawy. Właściwie dopiero podczas II wojny światowej zdano sobie w pełni sprawę, i to we wszystkich właściwie krajach, z tego, co dziś zdaje się nam tak bardzo oczywiste, mianowicie z sugestyjności dokumentarnej zdjęcia filmowego, a co za tym idzie z jego przydatności dla najszerzej pojmowanych celów propagandowych. Obraz dokonujących się zdarzeń, utrwalony na gorąco, był wielokroć bardziej sugestywny od najlepszego opisu. Cóż, kiedy nie zawsze można było, choćby z ważkich względów wojskowych, filmować to wszystko, co się ważnego działo. I tu właśnie powstaje problem, który historykowi sprawia bodaj najwięcej kłopotów, mianowicie zagadnienie rekonstrukcji, inscenizacji wydarzeń dopiero co minionych, realizowanej natychmiast po ich zakończeniu w celach dokumentacyjnych i propagandowych. Zarazem W. Jewsiewicki akcentuje, że „problem autentyczności inscenizacji zdjęć w warunkach frontowych staje się naczelnym zadaniem i pierwszym kryterium przy ocenie filmu dokumentującego wojnę współczesną”. Dopiero żmudne badania naukowe, dokładne rozpoznanie warunków działania, okoliczności filmowania, pozwalają na ustalenie „w jakim stopniu udokumentowanie spraw wojny można

ANDRZEJ GRUN

PORNOFRYZURY



uznać za autentyczne”. Bolewnie rekonstrukcja nie zawsze może być w pełni prawdziwa. A takich inscenizacji było stosunkowo wiele, aby wspomnieć filmowy zapis walk o kościół św. Krzyża podczas Powstania Warszawskiego, zajęcia Monte Cassino czy niektóre epizody z filmu, dokumentującego walkę I Armii Wojska Polskiego o Kolo-brzeg.

„Film i fotografia pisaly historię drugiej wojny światowej” — z uporem powtarza tę myśl W. Jewsiewicki w swej książce o polskich filmowcach na frontach tej wojny. Jest to pierwszy rezultat zakrojonych szerzej badań uczonego nad filmową dokumentacją polskiego wysiłku zbrojnego. Interesują one nie tylko historyka filmu, który niechybnie też się nad nimi zatrzyma.

Przed wszystkim mają znaczenie ogólniejsze, uzupełniają stan wiedzy o zbyt jeszcze mało znanych wydarzeniach o nowe szczegóły, nowe fakty, te, które uchwyciła kamera. Nowe postawienie problemu prowadzi badacza do nowych wniosków — tak to zwykle bywa — ale jak trudno jest ten problem postawić?

LEKTOR

## Zdarzenia • I • Zdarzenia

### Piękno stare jak kwiat

Kwiaty zawsze są piękne. Nawet wykopiona róża, będąca — jak mówią — „banalem stworzonym przez naturę”, jest także piękna. Gdyby ktoś chciał skompletować album „Kwiaty w malarstwie” byłaby to książka-gigant. Bowiemy piękno kwiatów jest wieczne, choć kwiaty są takie nietrwałe. Kłody wędzną kwiaty, nie wiednie wszakże piękno tematu.

Nie mam zamiaru oceniać

wystawy obrazów Józefa Wasiołka (Klub Dziennikarza — styczeń — luty), bo to zadanie dla krytyka. Mnie interesuje co innego. Oto pierwsza od paru lat wystawa, na której ludzie pytają, czy to można kupić!

Na wystawie obrazów przychodzi się zazwyczaj popatrzyć. Aby kupić obraz idziemy do salonu „Domu Książki”, gdzie w dużym wyborze i wielu formatach nabymy niezmiennie „Sło-

neczniki” van Gogha, które dziś wiszą w co drugim mieszkaniu. Na wystawie chodzimy w celach intelektualno-poznawczych. Nie kupujemy tam obrazów.

Czy to — wina obyczajów, czy wina obrazów?

Nie wiem. Natomiast wiem, że o możliwości kupna „Kwiatów” Józefa Wasiołka pytają ludzie oglądający tę wystawę. Krytyk może obok tego zjawiska przejść obojętnie — publicysta zajmujący się sprawami kultury nie może go zlekceważyć.

Co się więc stało? Jakie struny ludzkich odczuć poruszył ów malarz? Otóż nie ma w tym żadnych rewelacji. Malarstwo Wasiołka wyraża się w starych, dobrych tradycjach krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Być może nie wnoszą one nic nowego do sztuki plastycznej, być może historyk sztuki umieści je w długim szeregu

dokonań realistycznych w polskiej plastyce. Ale przecież jest w tych obrazach, w tych portretach, w kwiatkach, wcięż nowa, choć stara jak świat, tęsknota za pięknem pierwotnym, kontemplacja piękna kwiatu, który zawsze jest piękny.

Niby nic — wciąż ten sam układ — wazon i kwiaty. Wasiołek eksponuje i eksploatuje ten układ, rezygnując z innych wariantów kompozycyjnych. Nie ma tu — jak u Cezanne’a — bryl jablek i grusz, talerzy i draperii uzupełniających, organijujących płaszczyznę obrazu. Nie ma tu przekornych zestawień — jak u Raula Dufy, który malując kwiaty, umieszczał je w wazonie... malowanym w kwiaty.

Tego rodzaju chwyt nieobce były także i przedstawicielom ASP. Słynny obraz z różami Alfonsa Karpínskiego (który zresztą był profesorem krakowskiej Akademii) tworzy w ogóle całą anegdotę. Na stole osypały się płatki z kremowych róż, pusta filiżanka i w tle telefon... Mija czas, pusta filiżanka, osypują się już różki i ten milczący telefon...

Wasiołek świadomie rezygnuje z takich zabiegów, ufając w proste piękno kwiatów. Nie dba więc o nowe chwyt kompozycyjne, dba natomiast o najbardziej ekspresywny portret bukietu. Dlatego też jego „Kwiaty” są tak nasycone barwą — aż do granicy agresywności.

Zwykły widz nie przejdzie obok tych obrazów obojętnie, krytyka zirytuje owa agresywność i ekspresja.

Ale zwykły zjadacz chleba, zwykły, prosty odbiorca sztuki chciałby ten obraz kupić.

To chyba dobra i prawidłowa droga — od powielanych aż do znużenia „Słoneczników” i „Błękitnych wazonów” (w nie najlepszych zresztą reprodukcjach) — do oryginalnego, niepowtarzalnego dzieła sztuki. I jeśli Józef Wasiołek mówi, że maluje dla ludzi — nie jest to pusta deklaracja. Tradycyjne motywy malarskie przetwarzane impulsywnie i spontanicznie nie pojawiają się więc u tego artysty przypadkowo. Mają swoje miejsce i swoje estetyczne motywacje. Po prostu — odpowiadają społecznym potrzebom. Tęsknocie do piękna — starego jak kwiat.

WIDOK

## LEWYM OKIEM!

### Nożyczki nie wezmą!

Coraz rzadziej na szczęście spotykamy się w sklepach spożywczych z żądaniem pani sprzedawczyni, żebyśmy sobie sami ważyli kartofle, bo ona nie ma czasu. Rzeźnicy nigdy nie proponowali klientom, żeby sobie sami odrabiali ćwierć kilo bez kości. Wołą rąbać sami, z kością. W sklepach metrażowych nie kazano nam odcinać sobie potrzebnej ilości metrów; czasem natomiast kazano wziąć całość, jak leci, ale i to już trafia się rzadko.

Są jednak, okazuje się, branże, do których generalnie zasady handlu jeszcze nie dotarły. Jest na przykład sklep przy ulicy Wschodniej 70 z napisem na szybach: kosmetyki, wyroby szczerzkarskie, wykładziny. Nie wiem, dlaczego perfumy kupuje się tam, gdzie linoleum, nikt tego chyba w zakupie nie łączy, ale nęchby sobie było i tak, ostatecznie w Ameryce kupuje się kielbaski z musztardą w aptekach i też dobrze. W sklepie przy ulicy

Wschodniej 70 jednak wykładziny są, ale wykładzin się nie sprzedaje.

Leży na przykład (w dniu 23 stycznia) cała sterta ogromnych arkuszy płyt laminowanych do oklejania mebli. Taki arkusz to 1,30 na 3 metry, zwinąć się nijak nie da, unieść tego w pojedynkę nie sposób. Któż by zresztą potrzebował takiej wielkiej płyty na raz — chyba wytwórnia mebli. Płyta ma ładny wzorek, akurat taki, jaki dominuje w mojej kuchni. Więc proszę o odciecie kawałka, którym przykryję sobie kuchenny stół. Będzie cała kuchnia jednolita, nowoczesna, higieniczna, śliczna. Podnosimy kulturę mieszkania. Wszystko o mieszkaniu. Klient ma rację.

Sprzedawczyni rozmawia właśnie z koleżanką i z młodym człowiekiem, który przyszedł w sprawach służbowych. Sprawy służbowe są ważniejsze od spraw handlowych, czekam więc przez chwilę na dogodny

moment do zabrania głosu z niziutkiej pozycji klienta. Wreszcie mówię: proszę o odciecie pasa z tej płyty o szerokości takiej i takiej. Nie żadnego wymyślnego kawałka, tylko pasa przez całą szerokość płyty, tak jak się odcina materiał od kuponu. Nie, sprzedajemy tylko całe. Jak to całe? No, całą płytę. Cały ten ogrom? Tak. A kto to kupi? Nie wiem. A jak ktoś potrzebuje mniej? Jak potrzebuje mniej, to niech idzie do hurtowni, tam bywają kawałki. Czyli jak chcesz kupić mało — to w hurtowni, a jak dużo — to w detalu. Fantastyczne. A dlaczego tak? — A czym panu będę ciężył? — unosi się wreszcie słusznym gniewem sprzedawczyni. — Nożyczki tego nie wezmą!

Nożyczki nie wezmą, ja też nie wezmę. Jeszcze tylko słyszę głośno wyrazy ubolewania, że „ci ludzie nie rozumiają” i że „dziwne pretensje doprawdy”. Sterta laminowanych płyt

leży i zajmuje połowę sklepu. Nie ma ich czym ciężyć. Może i nie ma. Czy widzieliście kiedy sklep spożywczy bez wagi?

W nowoczesnym pawilonie chemii przy ulicy Traugutta kupujemy gumoleum. Tutaj pani sprzedawczyni ma nożyce, ale każą ciężyć klientom. — To bardzo ciężko, my nie mamy siły! — mówią. Rzeczywiście, lekko nie jest, ale kto powiedział, że wszystkie prace są lekkie? Ciężko jest wnieść fortepian na czwarte piętro, ale robią to ludzie, którzy zdecydowali się pracować w „branży fortepianowej”. Grubachne chodniki też tnie się nie bez wysiłku, a popatrzcie, jak to zgrabnie i błyskawicznie i chętnie robią w sklepie przy Nowotki 107.

Na interwencję kierowniczkę, przy akompaniamencie westchnień, pojękiwań, gniewnych w naszą stronę spojrzeń, gumoleum jednak przycięto. Drugi raz nie pokażę się tam, bo psami po-

szcząją. Na Wschodnią natomiast pójdę, z listem mianowanego dyrektora w ręku. Mianowicie z listem, który wyplynie do „Odgłosów” w odpowiedzi na skromne, brzmiące jak niżej pytania:

▲ czy rzeczywiście dla napicia się szklanki piwa trzeba kupować całą beczkę?

▲ czy dla przykrycia małego stolika trzeba w cztery konie zajeżdżać po wielką płytę i potem w domu ciężyć ją przy pomocy scyzoryka?

▲ czy poza granicą ludzkich możliwości leży wyposażenie sklepu w narzędzie do cięcia płyt, przy czym jesteśmy skłonni za przycięcie uiszczać dodatkową dopłatę?

▲ czy taki detal jak obecnie jest w ogóle potrzebny, skoro po kawałek laminatu i tak wysyła się klienta do hurtowni?

ĆWIEK